

małdodrze

ZIELONA GÓRA

13 IX — 1 X 1988 R.

ROK XXXII NR 19 [676]

CENA 40 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

DO SEULU PO MEDALE...?

MÓWI BESTIA

Tajemniczy dr Huth

SCENY

Rozmowa z Tomaszem Florkowskim

Inicjatywa zwołania międzynarodowego Kongresu w obronie pokoju zrodziła się wśród intelektualistów francuskich i polskich, poparta została przez wielu wybitnych uczonych i działaczy z innych krajów. Zdecydowano, iż miejscem obrad Kongresu będzie Wrocław.

Na naradzie w dniu 26 lipca 1948 r. z udziałem przedstawicieli Włoskiej Partii Komunistycznej, Francuskiej Partii Komunistycznej i Polskiej Partii Robotniczej postanowiono, że będzie to „Kongres Światowy” w obronie kultury europejskiej przed imperializmem amerykańskim.

Światowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju zebrał się we Wrocławiu.

W tym celu, dążących do dominacji w świecie. Poddano ostrej krytyce tych twórców Zachodu, którzy „wynoszą na piedestał zwyrodniałych, narkomanów, sadystów i gangsterów. Te zezwierzęcone istoty zapelniają stronicami powieści, strofą poezji i obrazami filmowymi. Gdyby szkole mogły nauczyć się pisać na maszynie, a hieny umiały posługiwać się

w jego sprawie. W przeciwnym wypadku grozi światu konflikt.

Ilja Erenburg poddał ostrej krytyce wystąpienia zachodnich intelektualistów, posługujących się słowami — wytrychami: kultura antyczna i kultura europejska, która dzieli się jakoby na zachodnią czyli prawdziwą i wschodnią — z istoty swej barbarzyńska.

Niezwykle interesujący referat pt. „Wojna i niezależność kultur narodowych” wygłosił prof. Józef Chalasiński. Uzasadnił twierdzenie, że wojna nie jest prawem naturalnym, ani koniecz-

Królowa z łopata

Ryszard Rowiński

Lud wszedł do odbudowanego przez siebie średniowiecza. I się tam rozgłosił na stałe. Niektórzy jego przedstawiciele, zanim dorosli do osiągniętego standardu, hodowali w wannach króliki. Inni, kopniaki w górę, ponad miarę, rozsmakowali się w szlachetnych trunkach. Co to jest szampań? Jest to pospolity napój klasy robotniczej konsumowany przez jej eksponentów. Bo dla całej reszty żytko i zupka z chmielu. Lud, po rozłożeniu maneli w średniowiecie stał się klasą robotniczą. Swoją postać udokumentował na przykład na Placu Konstytucji monumentalnymi płaskorzeźbami górników i hutników, marynarzy i piekarzy, choć ci ostatni zawsze zaliczani byli do rzemiosła.

Faktem jest, że historia najnowsza Polski, ostatnie jej prawie pięćdziesiąt lat, to dzieje awansu klasy robotniczej, która teraz, jak się wydaje, ma wszystko do stracenia. Bez jej woli nie istnieć w Polsce Ludowej stać się nie może. Skoro tak istotnie jest, a wszystkie kryzysy władzy, przesilenia, dramatyczne zakrety historii, wszak tego dowodzą, rodzi się pytanie, czy promienne wizje przyszłości, po spełnieniu nazwane błędami i wypaczeniami, od dzwigniających władzy trzeszczy kręgosłup, obciążają konto tej podstawowej w społeczeństwie siły sprawczej?

Pytanie to jest wynikiem myślenia pojęć. Robotnicy — nikomu do głowy nie przychodził przymiotnik — pracujący, jako tacy, bezpośrednie nie zajmują się rządzeniem. Upoważniają do tego zaciąg profesjonalistów, powiedzmy sobie — inteligentów pracujących. Niektórzy z nich są mianowanymi profesorami, o których Bismarck zdaje się to powiedzieć: „Hundert Professoren Vaterland ist Verloren”. I ich sprawujących władzę, obciążają błędami i wypaczeniami. Robotnicy w naszym kraju, świadectwem na to jest wiele, póki co, są klasą panującą. Rządzi ktoś zupełnie inny. Królowa brytyjska jako osoba panująca nie jest dotknięta blokiem błędów i wypaczeń. Jeśli gabinetowi sprawowanie władzy wychodzi źle, premier składa rezygnację na ręce królowej. U nas rezygnację gabinetu premier składa pod fabryczną bramą ozdobioną na okazie ekstrawaganckimi, zmykłowymi hasłami, za którymi kryje się cała głąbia społeczna, niezadowolona.

Jako zbiorowość zamieszkująca w środku Europy, okiełniona, obdarzona przez naturę bogactwem miedzi, węgla

i siarki terytorium, w konkretnym czasie — schyłek XX wieku, demonstruje myślowo swoją ciężką chorobę niezadowolona z siebie samych. Pluralizm postaw — gdzie trzech Polaków tam co najmniej dwie partie, wybujały indywidualizm, który można brać za do brą monetę, przesłankę pomyślnego rozwoju, w istocie jest eufemizmem. Kryje się za tym brutalna prawda o skłóceniu, sprzeczności interesów trzech sił: burżuazji, klasy robotniczej i państwa. Wymagującą tę samą konstrukcję: klasy robotniczej, klasy chłopskiej, klasy inteligentkiej. Co do tej ostatniej jest wątpliwość, czy jako warstwa już status klasy osiągnęła.

Dziś, w teorii, w którą wdepnęli członkowie Komitetu Centralnego PZPR podczas obrad plenarnych na temat funkcji i położenia inteligencji, stała się przeszkodą nie do przebycia. Obiecane drugie części obrad przeznaczona na decyzje, choć wiele brudnej wody w Wisłę popłynęło, jeszcze się nie odbyła. Sfrustrowani docenili, ponad sprzecznościami klasowymi wędrują do kopaliń, gdzie jako diabełki wstrojone w ornat, dorywają się do sygnatury. Znowu wpuszczają w maliny. Togliatti w swoich dociekaniach teoretycznych, któremu trudno zarzucić brak myślenia kategorią marksistowską, wychodząc z założenia, że praca inteligentów jest już dziś ma charakter kreatywny, wyznaczający oblicze świata, widział w niej rolę wiodącą w XXI wieku. Lekceważenie tego myślenia jest ciężkim, brzemieniem w skutki błędem. Już dziś, gdy klasa robotnicza jest panującą. Jeszcze.

Jest rzeczą zadziwiającą, że klasa robotnicza, od której woli dziś w Polsce wszystko bierze początek, w sensie badań naukowych jest jedną zdumiewającą białą plamą, upstrzoną jedynie przyczynkami efektami badań socjologicznych, psychologicznych, politologicznych, futurologicznych. Rok 1981 u dowodnił, że robotnicy potrafili działać w sposób zorganizowany i dyscyplinowany. Objawili dojrzałość. W roku 1983 strajkujący górnicy — awangarda klasy z silnie rozwiniętą solidarnością zawodową, wyczuciem niebezpieczeństwa, ofiarnością, gotowi byli skazać na zapomnienie swoje warsztaty pracy, kołpnie, których budowa kosztowała wie-

POŚLANIE ZNAD ODRY

Jan Golec

W dniu 25-28 sierpnia 1948 r. około 400 przedstawicieli kultury z 45 krajów świata.

Wśród uczestników było wielu o światowej sławie. Z Francji przybyli m.in. J. Joliot-Curie, Pablo Picasso, R. Vailland, z Wielkiej Brytanii — B. Bernard, J. Huxley, A.J. Taylor. Polskę reprezentowali K. Ajdukiewicz, J. Chalasiński, M. Dąbrowska, K. Dunikowski, L. Hirszfeld, J. Iwaszkiewicz, T. Kotarbiński, J. Krzyżanowski, L. Kruczkowski, Z. Nalkowska, S. Ossowski, J. Parandowski, L. Schiller, W. Sierpiński, A. Słonimski, J. Tuwim, K. Wyka, J. Zawilewski, S. Żółkiewski i inni. A Związek Radziecki Ilja Erenburg, Aleksander Fadiejew, Aleksander Korniejczuk, Michał Szolochow, historyk Jewgienij Tarle. Na Kongres nie mogli przybyć m.in. poeta chilijski Pablo Neruda, ścigany przez policję, musiał się ukrywać oraz przywódca partii ludowej Meksyku — Lombardo Toledano. W ostatniej chwili z powodu nawału pracy nie przyjechał sekretarz generalny ONZ — Trygve Lie.

W skład Prezydium Kongresu wchodził — jako przewodniczący — A. Fadiejew (ZSRR), R. Guttusa (Włochy), J. Huxley (Anglia), J. Joliot-Curie (Francja), M. Anderson (Dania). Sekretem generalnym został Jerzy Borejsza prezes Spółdzielni Oświatowo-Wydawniczej „Czytelnik”.

Pierwszy dzień obrad był poświęcony sprawom organizacyjnym, a w szczególności wprowadzeniu postulatu swobodnego komunikowania sobie nawzajem przez uczonych swych wyników i odkryć (zadanie to miało powrócić w 23 lat później w rezolucjach Światowego Stowarzyszenia Uczonych „Pugwash”). Pierwszy zabrał głos Aleksander Fadiejew. Wiele miejsca poświęcił szerzącej się na Zachodzie, szczególnie w USA, propagandzie wojennej, nie pozbawionej akcentów antyradzieckich. Mówił o ekspansji ideologicznej, poli-

tycznej i ekonomicznej Stanów Zjednoczonych, dążących do dominacji w świecie. Poddano ostrej krytyce tych twórców Zachodu, którzy „wynoszą na piedestał zwyrodniałych, narkomanów, sadystów i gangsterów. Te zezwierzęcone istoty zapelniają stronicami powieści, strofą poezji i obrazami filmowymi. Gdyby szkole mogły nauczyć się pisać na maszynie, a hieny umiały posługiwać się

To przemówienie wywołało gorącą dyskusję, a także głosy protestu ze strony niektórych delegacji zachodnich. Zanosilo się nawet na opuszczenie Kongresu, m.in. przez Irenę Joliot-Curie, ale mąż uczony Fryderyk telefonicznie z Paryża przekazał jej, by pozostała. Zachodnich uczonych oburzyło stwierdzenie Fadiejewa, iż główną przyczyną zagrożenia pokoju w świecie jest imperializm amerykański, a także ostre epitety pod adresem ich pisarzy.

W trakcie obrad rozgorzał spór czy intelektualisci powinni angażować się w działalność polityczną, czy też szukać wyjścia w azylu — obiektywizmu, czystej nauki, literatury i sztuki. Za pierwszą koncepcją opowiadali się intelektualiści z krajów socjalistycznych, za drugą — z Zachodu. Brytyjski pisarz Olaf Stapledon opowiadał przeciwko wprowadzeniu polityki do obrad Kongresu. Rozwijając główny temat referatu podkreślił, że bez pokoju i kultury człowiek nie jest człowiekiem, że człowiek i kultura pracują właśnie dla pokoju. Wojna niszczy kulturę. Dlatego kultura winna stać się głównym instrumentem pokoju. Stapledon starał się następnie wykazać, że napięta sytuacja na świecie jest wynikiem rywalizacji dwóch odrębnych kultur — natomiast nie jest rezultatem polityki imperialistycznej. Ten podział kulturalny — zdaniem referenta — znajduje swoje odbicie w antagonizmie dwóch największych państw: ZSRR i USA. Półk wzajemne zrozumienie okazuje się niemożliwe, należy pozwolić partnerowi ułożyć życie, jak chce, nie mieszając się

nością dziejową, tylko wytworem niesprawiedliwych stosunków społecznych i że uniknięcie wojny zależy od zorganizowanego wysiłku społecznego, a intelektualiści każdego narodu muszą odegrać specjalną rolę w organizowaniu tego wysiłku. Wykazał, że nie może być mowy o trwałym pokoju bez poznanowania kultur wszystkich narodów.

W następnych dniach Kongresu rozwinęła się dyskusja wokół walki o pokój, kwestii utrzymania jedności kultury europejskiej i zagrożenia cywilizacji, walki z kolonializmem i rasizmem oraz prawa narodów do swobodnego rozwoju społecznego i kulturalnego.

Szczególne dużo miejsca na Kongresie zajmowały sprawy wojny i pokoju. Były przedmiotem ostrej kontrowersji pomiędzy przedstawicielami krajów socjalistycznych i wysoko rozwiniętymi państwami kapitalistycznymi. Na zarzuty delegatów radzieckich odpowiedział przed stawiciel W. Brytanii. „Nie zakładajmy, że absolutna prawda leży po jednej czy drugiej stronie, jeżeli chcemy doprowadzić do porozumienia, jest rzeczą niezmiernie ważną, abyśmy dyskutowali nad konkretnymi problemami. Podnoszenie spraw, co do których być może nigdy nie będziemy zgodni, jest stratą czasu”. Delegat USA, Bryan Hyde polemizował ze zbyt zdecydowanym, jego zdaniem, atakiem delegacji radzieckiej na politykę Zachodu. Zarzucił Fadiejewowi, że „namalował biało-czarny obraz” i w tej sytuacji zwołanie Kongresu uznał za mijające się z celem. W podobnym duchu wywolewał się angielski historyk A. Taylor, który m.in. zarzucił delegatom Konwersu zbyt częste i jednostronne skierowanie używanie słowa „imperializm” oraz

Ciąg dalszy na str. 4

Ciąg dalszy na str. 4

Nie wygasły konflikt

Z trudem zmierzający ku pokojowej koegzystencji współczesny świat, nadal wstrząsany jest regionalnymi konfliktami, które kładą się cieniem na coraz powszechniejsze próby wprowadzenia w nim odpowiadającego wyzwaniom przyszłości modus vivendi.

Jednym z takich najbardziej skomplikowanych, do dzisiaj nie wygasłych konfliktów — jest konflikt kambudzki. Kambodża (Kambodża) to piękny, choć okrutnie zniszczony przez trwające tu od lat niepokój kraj graniczący z Syjamem, Laosem i Demokratyczną Republiką Wietnamu, znany ze wspaniałych zabytków, których symbolem jest zespół sakralny z XII w. Angkor Wat. Współcześnie jeszcze bardziej znany z nieodległych w czasie krwawych, ludobójczych rządów czerwonych Khmerów Pol-Pota.

Co stanowi jądro kambudzkiego konfliktu? Niewątpliwie obecność w tym kraju wojsk DRW, które przysły z pomocą powstałej po obaleniu reżimu Pol-Pota Kambudzkiej Republiki Ludowej w utrzymaniu stabilnej sytuacji wewnętrznej, narażonej na terrorystyczne ataki polpotowców, nie rezygnujących ze swych politycznych ambicji. Jest paradoksem, że miejsce należące do Republiki w ONZ, zajmują właśnie oni. To relikty konfrontacji w skali globalnej. Ale stabilizacji w Kambodży nie sprzyjała także dotychczas wewnętrzna i zewnętrzna opozycja, występująca przeciw aktualnej, ludowej władzy, opowiadająca się za innym kształtem ustrojowym państwa, mająca silne oparcie w państwach ASEAN-u i w Chinach.

Szansa zakończenia również tutaj długotrwałego konfliktu zrodziła się na zorganizowanym w czerwcu br. z inicjatywy Wietnamu i Indonezji w indonezyjskim mieście Bogora spotkaniu zainteresowanych stron. Dyskutowano możliwość osiągnięcia porozumienia na rodowego i związaną z tym kwestię wycofania z Kambodży wojsk wietnamskich, a po ich wycofaniu — niedopuszczenie do ponownego powrotu polpotowców do władzy. I w tej najbardziej dramatycznej sprawie nie osiągnięto porozumienia.

Niemniej jednak fakt rozpoczęcia rozmów między zwaśnionymi stronami był możliwy dzięki zmianom, jakie dokonywały się w Kambodży i wokół niej. Rząd Kambudzkiej Republiki Ludowej utrzymuje kontrolę nad terytorium kraju. Pod koniec przyszłego roku lub na początku 1990 r. zakończy się rozpoczęcie już wycofywanie z Kambodży wojsk DRW. Zmieni to charakter konfliktu.

Pozostanie kwestia: jaka ma być Kambodża w przyszłości? Czy będzie to pokojowe, neutralne i demokratyczne państwo, czy wznowi się bratobójcza walka o władzę? Większość uczestników spotkania w Bogorze pozytywnie przyjęła propozycję rządu Kambudzkiej Republiki Ludowej, dotyczącą utworzenia rady pojednania narodowego z przywódcą najbardziej liczącego się ugrupowania opozycyjnego, księciem Norodomem Sihanoukiem na czele i przeprowadzenia wyborów powszechnych do Zgromadzenia Narodowego. Zarzysowała się szansa utworzenia nowego sojuszu głównych sił politycznych w Kambodży. Nie akceptują go jedynie czerwoni Khmerzy, a zwłaszcza Pol-Pot, któremu marzy się powrót do władzy. Polityczne rozmowy, zmierzające do rozwiązania konfliktu, trwają. Przybyły pod koniec sierpnia do Pekinu wiceminister Związku Radzieckiego Roszczow oświadczył dziennikarzom, że „ZSR i CHRL nie są uprawnione do bezpośrednich uczestnictwa w kambudzkiej wojnie domowej, ale są bardzo zainteresowane jej rozwiązaniem”. W październiku lub w listopadzie br. ma odbyć się w Paryżu trzecie już spotkanie Sihanouka z szefem rządu KRL Hun Senem. Waga się losy tego pięknego kraju.

STANISŁAW DERESZ

Z prasy radzieckiej

Dziennik „Czerwony Sztandar” zamieścił interesujące rozważania nad ankietą socjologiczną dotyczącą poziomu wykształcenia i problemów z tym związanych wśród różnych narodowości na Litwie. Autorem tej publikacji jest Władysław Gajdys, kandydat nauk filozoficznych, st. pracownik naukowy Instytutu Filozofii, Socjologii i Prawa Akademii Nauk Litewskiej SRR.

W ubiegłym roku grupa socjologów naszego instytutu włączyła do ankiety „Twoje zdanie” kilka pytań dotyczących stosunków narodowościowych. Sondaż przeprowadzono wśród uczniów i studentów wileńskich. W ankiecie wzięło udział 439 Litwinów, 128 Rosjan i 130 Polaków. Jedno z pytań dotyczyło opanowania przez Polaków języka rosyjskiego i litewskiego. Ciekawe, że spis ludności nie może podać dokładnej informacji na ten temat. Chodzi o to, że podczas spisu można było wskazać tylko jeden „drug” język, którym się posługuje mieszkancie Litwy. Polacy, którzy znają rosyjski i litewski, musieli wybierać. Większość wybrała bliższy język — rosyjski. W efekcie okazało się, że z języka litewskiego korzysta na co dzień tylko 15 procent Polaków. Jest to niezamierzone kłamstwo statystyczne, wynikające z błędnie ułożonej ankiety i niektórych osób mogą wykorzystać to do zastrzeżenia, stosunków między narodami. (Nie chcą znać, „Nie szanują” itd). Faktycznie sytuacja jest znacznie lepsza. Według danych, którymi dysponuje nasz instytut (z po wodu małej liczby osób ankietowanych można je przyjąć tylko jako wytyczne), po litewsku swobodnie rozmawia 66 proc. młodzieży polskiej, zaś zupełnie go nie zna tylko 3 procent młodych Polaków.

Mniejszości narodowe na Litwie

Czy Polacy muszą znać język litewski? Na razie nie jest on językiem państwowym (ale przewidziane są w tej kwestii poprawki do konstytucji), bez niego właściwie można się obejść w życiu: w latach 1986-87 na wyższych uczelniach 12,6 procent młodzieży studiowało po rosyjsku, w wielu przedsiębiorstwach wileńskich obowiązuje dwujęzyczność rosyjsko-litewska lub jednojęzyczność rosyjska. Polak na Litwie powinien być bez mała poliglota — oprócz języka ojczystego powinien znać rosyjski, litewski i jeden z języków zachodnich — angielski, francuski lub niemiecki. Czy jest to konieczne?

Uważam, że język litewski mimo wszystko warto dobrze znać. Bez tego niemożliwy jest pełnowartościowy udział w życiu kulturalnym i społeczno-politycznym republiki. Znamość litewskiego niewątpliwie ułatwia codzienne życie. Jest to także kwestia polityczna. Większość mieszkańców Litwy stanowi

wia Litwinów. Sądzę, że nie powinno się określać mianem nacjonalistów tych Litwinów, którzy pragną, aby w instytucjach państwowych i partyjnych Litwy można było porozumieć się w języku ojczystym.

Jak na ten problem patrzy młodzież? 87 proc. młodych Litwinów uważa, że

niezbędne jest, aby inne narodowości swobodnie posługiwały się językiem litewskim. Wśród Polaków i Rosjan jest takich odpowiednio 59 i 49 proc. To też nie mało. Tym bardziej, że takich, którzy wskazali, iż na Litwie w zupełności wystarczy znajomość języka rosyjskiego, było 8 proc. Polaków i 16 proc. Rosjan. W ten sposób można zakładać, że istnieje taka potrzeba, że należy tylko stworzyć normalne warunki do opanowania języka. Współczesna szkoła nie stwarza takich możliwości. Dlatego? To już inna, dalece nielatawa kwestia.

Rozważając o stosunkach między narodowościami należy poruszyć również następujący temat. Narodowości różnią się nie tylko językiem, tradycjami, cechami narodowego charakteru. Są między nimi również różnice wyłączone społeczne. Jako przykład może służyć poziom wykształcenia. Skorzystajmy z danych spisu ludności z 1979 roku. Najwięcej osób posiadających wyższe wykształcenie jest wśród Żydów (w przybliżeniu 10 razy więcej niż wśród Polaków). Następnie idą Ukraińcy — 15,7 proc. wśród osób pracujących, zaś wśród Rosjan jest ich 13,2 proc., wśród Litwinów — 9,4 proc., Białorusinów — 7,4 proc., a Polaków — 3,2 proc. Liczba Litwinów z wyższym wykształceniem jest mniejsza niż Rosjan i Ukraińców. Dodajmy też, że pod względem liczebności osób z wyższym wykształceniem Litwa zajmuje 9-10 miejsce w kraju (według spisu ludności z 1979 r.).

Jak prezentują się na tym tle Polacy? Ich poziom wykształcenia jest trzykrotnie niższy niż Litwinów, czterokrotnie niż Rosjan, pięciokrotnie — niż Ukraińców. Niższy jest też niż wśród Polaków w Polsce (wśród osób powyżej lat piętnastu). W Polsce jest 5 proc. z wyższym wykształceniem (według „Encyklopedii Słownika Encyklopedyczny” Moskwa, „Sowietskaja Enciklopedija” 1985 r. s. 336), zaś na Litwie — 3,2 procent. („Wyniki ogólnonarodowego

spisu ludności Litewskiej SRR” t.2 cz. 2. Wilno, 1981, s. 111, 27). Dlaczego tak się stało?

Oto niektóre czynniki. Polacy w zasadzie mieszkają na Litwie wschodniej, gdzie w ciągu stuleci rozwój ekonomiczny był słaby: przyroda jest tam bardzo ładna, ale ziemia nie stała się urodzajna. Dlatego wielu nie stało się na Litwie. Inne przyczyny — to fakt, że po II wojnie światowej większość inteligencji polskiej wyemigrowała. Myślę, że do dzisiaj daje się to we znaki.

Według danych z 1979 r. Polaków z wyższym wykształceniem jest na Litwie — 4.390 osób. Myślę, że to jednak mało, jeśli chodzi o trzecią pod względem liczebności narodowość republiki. Wykształcenie rzutuje też na strukturę zawodową. Tak np. udział Rosjan w porównaniu z innymi narodowościami wśród pracowników inżynierjno-technicznych jest 1,65 raza większy. Wśród Rosjan jest też wielu wysoko wykwalifikowanych robotników.

W jakim charakterze najczęściej pracują Polacy? Wymienię zajęcia, gdzie Polaków jest więcej niż mogło być. Kuchnie i kucharze — 1,7 raza więcej, kolejarze — 1,6, drukarze — 1,5, krawcy — 1,35, robotnicy gospodarki komunalnej i sfery usług — 1,35.

W jakich dziedzinach Polaków jest mało? Wśród pracowników służby zdrowia jest 2,7 raza mniej niż wynosi ich ogólny udział wśród pracujących, wśród pracowników partyjnych — 2,7, pracowników sztuki — 2,5 raza mniej.

W Wilnie dysproporcje są jeszcze większe. Różnice w poziomie wykształcenia i wybieranych zawodach są nie tylko formalnymi różnicami społecznymi. Kryją się za tym także różnice kulturowe. Przypuszczam, że ma to wpływ również na stosunki między narodowościami. Sprzeczności „kastowe” mogą ujawniać się „maskować się” jako sprzeczności narodowe.

Powróćmy do badań socjologicznych. Ankieta zawierała pytanie: „Jak oceniasz małżeństwo, jeżeli przedstawiciel twojej narodowości wychodzi za żonę (żeń) się z...” (następnie podany był spis narodowości). Okazało się, że Litwini dość powściągliwie ustosunkowywali się do małżeństwa z Rosjanami lub Polakami: przeciwko takim małżeństwom wypowiedziało się odpowiednio 38 i 39 proc. respondentów. Rosjanie i Polacy są bardziej tolerancyjni wobec małżeństw mieszanych. Przeciwno małżeństwu z Litwinami wypowiedziało się odpowiednio 9 i 7 proc. Można to wytłumaczyć chociażby tym, że w realnym życiu dla mniejszości narodowej nawiązanie do małżeństwa jest znacznie trudniejsze niż dla większości narodowej.

A jak w ogóle należy ocenić mieszane małżeństwa? „Internacjonalista — wermistrz” powie jednoznacznie, że jest to bardzo dobre dla człowieka jako jednostki i dla społeczeństwa. Czy naprawdę bardzo dobre? Rodzanie potomstwa z różnorodnych rodzin jest skomplikowane. Trzeba uwzględnić, jaka jest narodowość matki i ojca. Wstępnie kilka innych trudności metodologicznych. Na razie zbyt wcześnie jest

mówić, że naukowcy wykryli tu wiarygodne prawidłowości. A jeśli by nawet były to czy etycznie jest mówić o tym młodym ludziom? Sądzę, że nie.

Jednakże mieszane małżeństwa są mocnym czynnikiem asymilacji. Dla wielkiego narodu jest to prawie nieodczuwalne. Przeciwnie, często w ten sposób asymiluje on inne (zresztą wzrost liczby Litwinów w pewnym stopniu odzwierciedla się w drodze asymilacji innych narodowości). Ale dla mniejszości narodowej wielka liczba mieszanych małżeństw może okazać się fatalna. W 1986 r. pierwsze małżeństwo z przedstawieli swojej narodowości zawarło 94,8 proc. Litwinów, 57,7 proc. Polaków, 57,6 proc. Żydów, 44,9 proc. Rosjan, 19,1 proc. Białorusinów i 8,8 proc. Ukraińców. Jak przekazuje się wartości kulturowe swego narodu, jaka jest specyfika samouswiadomienia dzieci w mieszanych rodzinach — są to zagadnienia nie zbadałe.

Wyżej przytoczone zostały dane o stosunku młodzieży litewskiej do małżeństw z Rosjanami, Polakami. Faktycznie wskazuje to nie tylko na stosunek do mieszanych małżeństw jako takich, ale bardziej na uogólniony dystans społeczno-psychologiczny między narodami. Jakie problemy i niepokój Litwinów kryją się za ich zaskrupiałością? Jest to temat do szerokiej i szczerzej rozmowy.

Na Litwie od roku 1959 procent Litwinów praktycznie się nie zmienił — był na poziomie 80 proc. Jednakże jak wykazują obliczenia, obecnie notuje się spadek. I to nie dlatego, że w rodzinach jest mało dzieci — przyrost naturalny jest u nas wyższy niż np. w ościennych republikach. Wynika to z przynależności mechanicznej, czyli migracji.

Zrozumiałe jest, że resortom związkowym wygodnie jest budować nowe obiekty tam, gdzie są dobre drogi, lepsze usługi itd. Tutaj ludzie chętniej przyjadą pracować. A czy ten przyrost jest potrzebny rdzennym mieszkańcom? Czy ktoś pytał ich o zdanie? Dziesiątka tysięcy migrantów potrzebna si mieszkańcom. Jednakże są one potrzebne także miejscowej ludności.

Nie sądzę, że potok migrantów lub też kryzysowa sytuacja w ekologii są świadomością wymierzone przeciwko narodowi litewskiemu. System nakazowo-administracyjny (który wciąż jeszcze panuje) w swojej istocie jest irracjonalny, a tym bardziej pozbawiony zabarwień narodowych. Jednakże przeciętny przedstawiciel mniejszości narodowej często odbiera niezdolność miejscowych władz do obrony przed bezcelowymi wskazówkami i decyzjami jako „dyktat Rosjan”, co ostatecznie mocno szkodzi kontaktom między narodowościami.

Przebudowa nie może pominać tego problemu. Rozwiązanie powinno iść tylko w jednym kierunku — ludzie pracy winni stać się pełnoprawnymi gospodarzami swojej republiki. Formalnie ta leninowska koncepcja Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich utrwała na jest w konstytucji. Cóż, pozostaje uczynić tak, aby treść odpowiadała formie.

Żywe pochodnie

Dlaczego w Turkmenii wciąż zdarzają się przypadki samospalenia kobiet? Na pytanie to próbują odpowiedzieć na łamach „Sowietskij Kultur” pisarz Tirkisz Dzumgildyew i socjolog Szachar Kadyrow.

17-letnia robotnica z tatarskich zakładów odzieżowych oblała się benzyną i zapaliła zapalniczką. Zapłonęła żywa pochodnia, która rzuciła wreszcie trochę światła na ciemne zakątki życia młodych kobiet, nie znajdujących rozsądnej go wyjścia z ciężkiej sytuacji.

Tragedia zmobilizowała tatarski komitet miejski partii do podjęcia uchwały: „O niedostatecznej walce z przemyślnymi przestępstwami w stosunku do kobiet”. Zastwierdzono „plan przedsięwzięcia”. Na kolejną falę zainteresowania tym problemem trzeba będzie poczekać. Warto dorzucić jeden szczegół. Do piero po miesiącu od tragedii uzyskała ona społeczny rezonans, kiedy przybyła komisja z Aszchabadu. Do tego czasu nikt z kierownictwa obwodu nie pofatygował się do miejsca pracy dziewczyny... Samospalenie nie jest wyjątkowym zjawiskiem w tej republice. W ubiegłym roku odnotowano 34 takie przypadki. W pierwszych miesiącach bieżącego — 22. Zbyt długo był to temat tabu. Nadszedł czas, by zastanowić się nad społecznymi przyczynami owych tragedii.

W Turkmenii, gdzie notuje się wysoki przyrost naturalny, występuje jednocześnie najwyższy wskaźnik śmiertelności dzieci. Średnia życia Turkmenek jest najniższa w ZSR. Milczano o tym dotychczas, bo przecież rewolucja zrównała w prawach kobiety z mężczyznami — tego typu zjawiska nie powinny więc istnieć.

Tymczasem słabo rozwinięta infrastruktura, opieka medyczna, zwłaszcza na wsi, mała aktywizacja zawodowa, stawiają kobietę poza marginesem życia społeczno-politycznego i kulturalnego. Pod tym względem w ich życiu niewiele zmieniło się od wielu lat. Są zatrudniane niemal wyłącznie w najbar dziej pracochłonnych działach gospodar

ki. Wykonują jednostajne czynności od świtu do zmierzchu z niewielką przerwą na obiad, często bez dni wolnych, pod palącym słońcem. Zbierają bawełnę z twarzami owiniętymi chustką, by choć trochę chronić się przed szkodliwymi chemikaliami, którymi opryskiwane są pola. Niewiele to pomaga. Wy chodząc za mąż nawet nie wiedzą, że nie będą mogły mieć zdrowych dzieci.

Mężczyźni tymczasem pracują jako sprzedawcy, kasjerzy, urzędnicy, kontrolerzy — z pyłem na polach stykają się nie muszą. Również prace domowe zrzucają na barki kobiety. A trosk w wielodzietnych rodzinach jest naprawdę mnóstwo. Tym bardziej, że na wsi nie ma wodociągu, kanalizacji, gazu, w wydobyciu którego Turkmenia zajmuje drugie miejsce w kraju.

Jak wynika z badań przeprowadzonych przez czasopismo „Zachmet Azjal” („Pracownica”), 34 proc. czytelników ma problemy ze znalezieniem pracy, prawie 13 proc. — kłopoty mieszkaniowe. Na stosunki rodzinne, co brzmie wręcz paradoksalnie, kobiety na ogół nie skarżą się. Wciąż obowiązują tradycyjna zasada „nie mów nikomu, co się dzieje w domu”. A przecież właśnie sytuacja rodzinna jest główną przyczyną samoagresji.

Dlatego kobiety decydują się na taki desperacki krok? Niezwykle często powodem jest odrzucenie przez męża, który stwierdził — że poślubiona kobieta nie jest dziewczyną, na skutek ciężkich warunków materialnych, złego stanu zdrowia, systematycznego bicia przez męża, wydania za mąż wbrew woli, nie możliwości połączenia się z ukochanym mężczyzną.

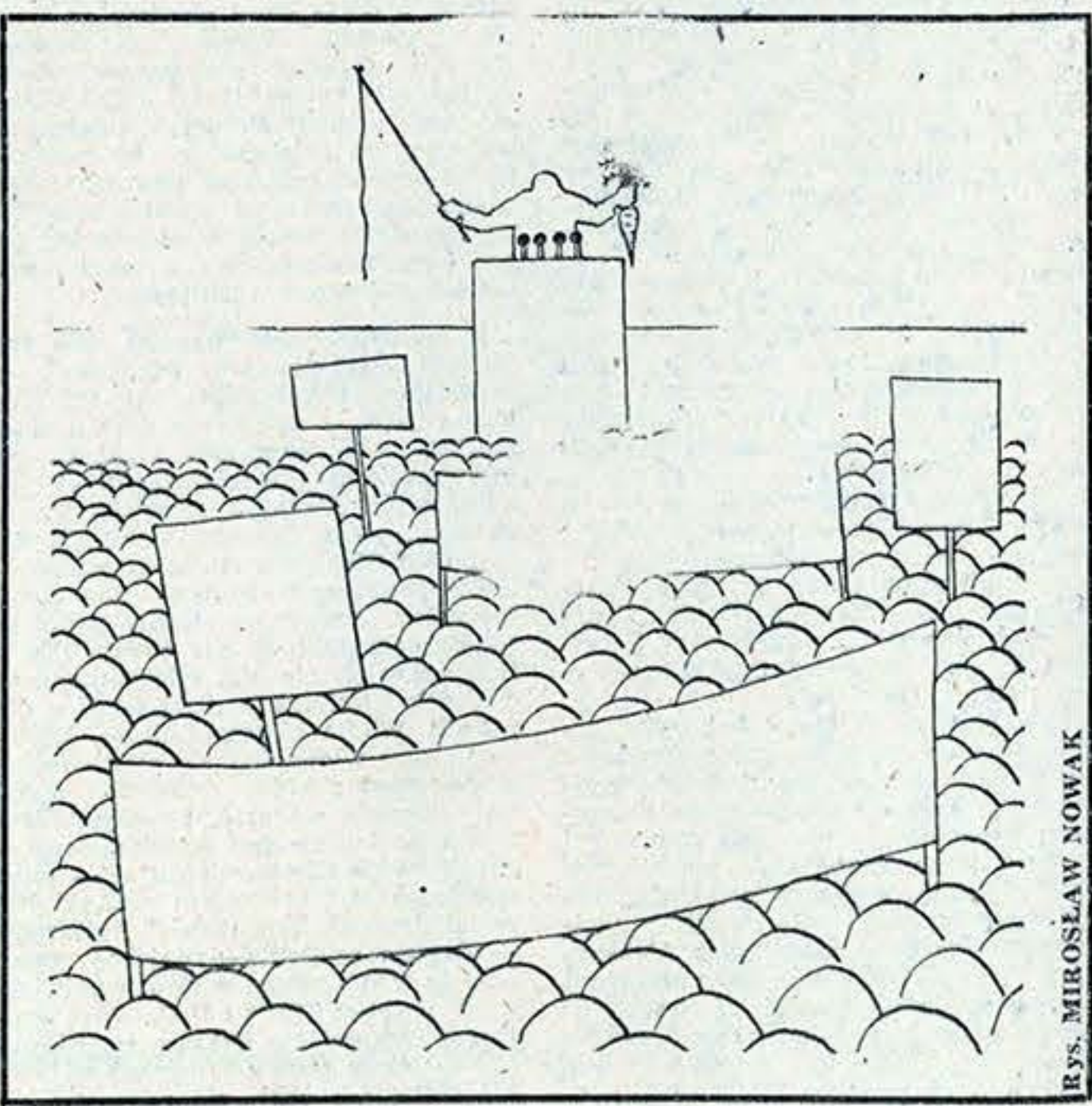
Przypadki samospalenia najczęściej notowane są w środowisku gospodyń domowych (33,3 proc.) i uczennic (23,3 proc.). Decydują się na ten desperacki krok z reguły dziewczyny w wieku 15-18 i 22-24 lata. Można nawet uchwycić związek samobójstw z porami roku. W młodszej grupie wiekowej najbardziej niebezpieczne są pod tym względem wiosna i jesień — czas wesel. Starsze kobiety, zwykle gospodynie domowe, targają się na życie zimą, kiedy szczególnie mocno odczuwają brak więdzi ze światem.

Dlatego ślub zamiast radości przynosi

si nieszczęścia? W wielu rejonach małżeństwa zawierane są na podstawie „umowy” rodziców. Decydujące znaczenie ma wówczas wysokość kalymu (okupu) lub chęć wejścia w związek z „dobrą” rodziną. Młodzi porównująże ciwistość ze swymi ideałami i przeżywają silny kryzys — ich życie traci sens. Do tego wszystkiego dochodzi słaba odporność psychiczna Turkmenek. Przyzywczajane od dzieciństwa do pokory, nie potrafią znaleźć wyjścia z trudnej sytuacji. Brakuje im doświadczenia życiowego. Nie wiedzą, że na straży ich interesów stoi prawo. Kobiety zresztą, zwłaszcza na wsi, są właściwie półanalfaberkami. Przez większość czasu przeznaczanego na naukę zbierały przecież bawełnę...

W grudniu ubiegłego roku Biuro Polityczne KC Komunistycznej Partii Turkmenii zajęło się sprawą śmiertelności dzieci, utworzono specjalną komisję ds. ochrony macierzyństwa. Planuje się

także przeanalizowanie na forum partyjnym przyczyn samospaleń. Może więc pojawi się strategia walki z tym zjawiskiem. Nie wolno jednak prowadzić jej w oderwaniu od ogólnej sytuacji społecznej w republice, gdzie wskaźnik wyposażenia szpitali z łóżka jest poniżej średniej krajowej, a liczba pediatrów, zgodnie z planami, dopiero w 1992 r. zbliży się do obowiązującej w ZSR normy. Trzeba poprawić także warunki sanitarno-higieniczne na wsi. Na razie 40 proc. mieszkańców republiki czerpie wodę z otwartych zbiorników wodnych, w których nie trudno o zanieczyszczenia chemikaliami. Braku je przedszkoli i szkół. Niepokoń fakt że co szóste małżeństwo zawarte w ubiegłym roku rozpadło się. Niemal połowa sprawiają usługi, których poziom jest najniższy w kraju. Trzeba jednak najemczybie zaradzić tym wszystkim problemom. Nie wolno czekać, aż zapłoną kolejne żywe pochodnie.



rys. MIROSLAW NOWAK

— Tomasz Florkowski — człowiek nie anonimowy, architekt, dziennikarz, rękodziełnik, poeta. Właśnie 2 września otwarcie wystawy twojego dorobku — „Architektura — Drewno — Słowo”. Kim czujesz się przede wszystkim?

— Przede wszystkim zwykłym, normalnym człowiekiem, od 20 lat mieszkającym w Zielonej Górze, który 30 lat temu ukończył studia, a w ogóle żyje już ponad 53 lata. Ktoś, kto tak długo żyje, powinien czegoś w życiu dokonać.

— Jak wynika z tytułu twojej wystawy, działasz na kilku planach. Czy to nie osłabia tego, co chciałbyś osiągnąć?

— To jest bardziej kwestia punktu widzenia, oceny, nie realizacji. Przecież ja, nie znam się na wielu rzeczach, np.

ke, przygotowując materiały niezbędne do prawidłowego sterowania rozwojem przestrzennym miasta. Skutki tego są już dzisiaj widoczne. Nie wycofałem się jednak z pracy. Wkrótce po tym zorganizowałem w Zielonej Górze Pracownię Konserwacji Zabytków, byłem jej pierwszym kierownikiem. I ta praca dawała mi wiele satysfakcji, choć są tacy, którzy twierdzą, że nie jest ona zbyt twórcza. Nie zgadzam się z tym. Nigdy nie pracowałem na własny użytek, może z wyjątkiem pracy doktorskiej, którą obroniłem w 1983 roku. Przecież to nie grzech. Człowiek musi nieustannie się wzbogacać, nie kończyć nie w tym egzystencyjnym sensie. Myślę, że wiele z tego co robię dla siebie, robię także dla innych. Na takiej zasa-

gospodarowania strefy przybrzeżnej a motywacje wyboru rozwiązań przestrzennych i architektonicznych.” To właśnie temat mojej pracy doktorskiej, którą obroniłem w 1983 r. w Politechnice Wrocławskiej. Musimy sobie uświadomić, że świat, w którym żyjemy, jest tylko w jednym wydaniu. Nie można go wymienić na inny, lepszy. Można tylko zabiegać, aby nie był gorszy. A tymczasem w Zielonej Górze pije my wodę z rzeki Obrzyca, którą czepię ją z tego jeziora. To niewiarygodne, ale nie ma nad nim do dzisiaj ani jednej oczyszczalni ścieków! Można sobie wyobrazić, co tam się dzieje w sezonie turystycznym, a są nad tym jezioro dziesiątki ośrodków wypoczynkowych, nie licząc samej Sławy. Umiera to jezioro. Dwa lata temu 1/3 jeziora była już eutroficzna, dzisiaj już połowa. Paradoksalna sytuacja polega na tym, że Urząd Wojewódzki już od kilku lat posługuje się dokumentacją i niezbędnymi środkami na budowę tej oczyszczalni, nie można jednak osiągnąć konsensusu w tej sprawie także z kierownictwami poszczególnych ośrodków wypoczynkowych. Nie jest to jednak sprawa tylko tego jeziora; takich mamy więcej. W końcu jest to sprawa budzenia powszechnej świadomości zagrożenia wśród ludzi, bo to ludzie za ten stan odpowiadają.

— Masz możliwość do nich się odwoływać, wszak pracujesz w Radiu?

— I czynię to, spotykam się z różnymi reakcjami, ale jak sam wiesz, nasza praca, także i w tej dziedzinie, to kropla drażniąca skalę. Trzeba mieć dużo cierpliwości.

— I ty ją masz. Sam się zastanawiam, skąd pośród tylu zajęć i zainteresowań znajdujesz jeszcze czas na sy-

O życiowych wyborach i skutecznym działaniu

Z Tomaszem Florkowskim rozmawia Wiesław Nodzyński

na budowie samochodów, szyciu butów, ale jeśli już się na czymś znam, to chcę to znać gruntownie. I tak jest z architekturą, która interesuje mnie od strony wizji, projektowania, także od strony realizacyjnej, budownictwa. Zarów no jedno, jak i drugie może być pasjonujące. Szczególnie interesuje mnie kamień. Teraz, po latach już wiem, że każdy kamień, materiał, w którym lubię pracować, ma swój indywidualny charakter. Ale potrafi trwać wiecznie. Stara architektura, to architektura kamienia. Kościół w Trzemesznie, w pobliżu Gopla, jeden z najstarszych w Polsce, jest tak zbudowany. Mistrzowie budowlani już sprzed 800 lat dobrze wiedzieli, jak ten kamień układać, jak on pracuje.

— A więc jednak twoja miłość pierwsza i najważniejsza to architektura, do której starasz się podchodzić od zródeł.

— To najpiękniejsza ze sztuk, która łączy się z człowiekiem od zarania dziejów. Staram się do niej zbliżyć, chociażby dlatego, że jest tak bardzo potrzebna ludziom, użyteczna. Nie kojarzę tego ze współczesnym budownictwem u nas, które w większości jest złe, niefunkcjonalne i nie ma nic wspólnego ze sztuką.

— Mówisz o tym z nutą gorzkości. Czy nie kryje się za tym rozczarowanie, że jako architekt — twórca, a legitymujesz się takim formalnym tytułem — nie miałeś zbyt wiele okazji, aby się sprawdzić, pomyśleć, że oto jest coś, do czego można się przyczynić, co po tobie zostanie?

— A jak często można mieć takie szczęście? Tylko nieliczni, wybitni, mogą iść od sukcesu do sukcesu. Zresztą na sukces, w tym rozumieniu o jakim myślimy, składa się wiele okoliczności nie zawsze zależnych od architekta. Mały na to wiele przykładów w moim czterdziestolecu. I nie wszystko można wytłumaczyć ogromem potrzeb. Ale o wszystkim trzeba walczyć. Architekci zbyt często padali ofiarą zgryźliwych kompromisów. A jeśli o mnie idzie jest parę rzeczy, pod którymi mogę się podpisać. Ostatnia, którą się przejąłem, to projekt rozbudowy poczty przy ul. Westerplatte w Zielonej Górze. Staralem się go zindywidualizować, rozbić tę nieomierzalną monotonię centrum, pokrytą płaskimi dachami. Nowa poczta będzie miała stromy dach, gzymsy, podcienia, duże okna w obramowaniach i sporo wokół zieleni. Stawiając na formę, chce trafić do wyobraźni ludzi. Nie ukrywam, że dając do realizacji tego projektu, przyszło mi pokonywać wiele oporów. Ale tak już jest, nie bez tego nie może się obejść. Tym większa satysfakcja, jeśli uda się coś, zgodnie ze swym najgłębszym przekonaniem, doprowadzić do końca. Na podobnej zasadzie od trzech lat buduję obok domu przy pomocy syna tunel — piecarnię z kamienia, która ma mieć wielorakie funkcje — piwnicę, garaż, na stropie zaś skalny ogródek. Jest to, wbrew pozorom, niemalże założenie, wymagające pokonania wielu kłopotów. To mnie dopinguje.

— Robisz to na własny użytek. Przed laty byłeś szefem miejskiej pracowni urbanistycznej, mając wpływ na to, co dzieje się w mieście — znacznie większy, niż dzisiaj. Odsunął się od tej działalności. Czy była to kapitulacja?

— Absolutnie nie! Była to pasjonująca dziedzina pracy i robiłbym to do dzisiaj, gdyby nie reforma administracji. Zlikwidowano wtedy pracownię. Ta fatalna decyzja unicestwiła placów-

dzie zbudowałem dom, lokując w nim całe swoje i żony oszczędności.

— Podobno prawdziwy mężczyzna powinien w życiu zbudować dom, spłodzić syna i posadzić drzewo. Tobie to się udało.

— To prawda. Dodałbym, że jeszcze powinien się czegoś dorobić. Wiem, że to co mówię w obecnej sytuacji może brzmieć niepopularnie, ale sądzę, że



Dr inż. arch. Tomasz Florkowski: nie wszystko można wytłumaczyć ogromem potrzeb...

Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

człowiek powinien działać skutecznie w każdej sytuacji. Jest to tylko kwestia kosztów. Odnoszę to nie tylko do jednego stki, ale także do zbiorowości. Takie działania bardzo są nam potrzebne właśnie teraz, kiedy tak wielu ogarnia niechęć do czegośkolwiek.

— Czy nigdy nie żałujesz, że znalazłeś się tutaj, w Zielonej Górze, bo np. w innym większym ośrodku miałbyś większe szanse i możliwości skutecznej go działania, o którym mówisz?

— Nie. Znalazłem to tutaj. Mogę powiedzieć, że jestem człowiekiem „czepalim”. To nie znaczy, iż życie nie oszczędziło mi cierpienia, nawet dramatów. Przeżyłem poważną katastrofę kolejową, po której mój los nie był pewny. Ale jeśli myślę o tym, co mam za sobą, nie napawa mnie to lekciem. Moja osobowość kształtowała się w trudnym okresie stalinizmu, pełnym niejednoznaczności i zakłamania. Wiele zawdzięczam środowisku zgrupowanemu wokół katedry architektury Politechniki Wrocławskiej, a zwłaszcza takim ludziom jak prof. prof. Marian Morelowski, wybitny historyk sztuki, przed wojną wykładowca uniwersytetów we Lwowie i w Wilnie, Tadeusz Broniewski, autor jedynego do dzisiaj w Polsce podręcznika historii architektury. Ci ludzie tworzyli wyjątkowy klimat wokół nauki, urwali zafascynować nią młodzież. Pozwala mi to patrzeć na świat racjonalnie, choć nie jednostronnie.

— I stąd także twoje zainteresowanie ekologią?

— Tak, bo pośród kryzysów, jakie przeżywamy, i które wydają się odwracać w sprzyjających okolicznościach, kryzys ekologiczny jest najgroźniejszy. To zagrożenie starałem się przedstawić na przykładzie dokonującej się na naszych oczach degradacji jeziora sławskiego, w pracy pt. „Tendencje w za-

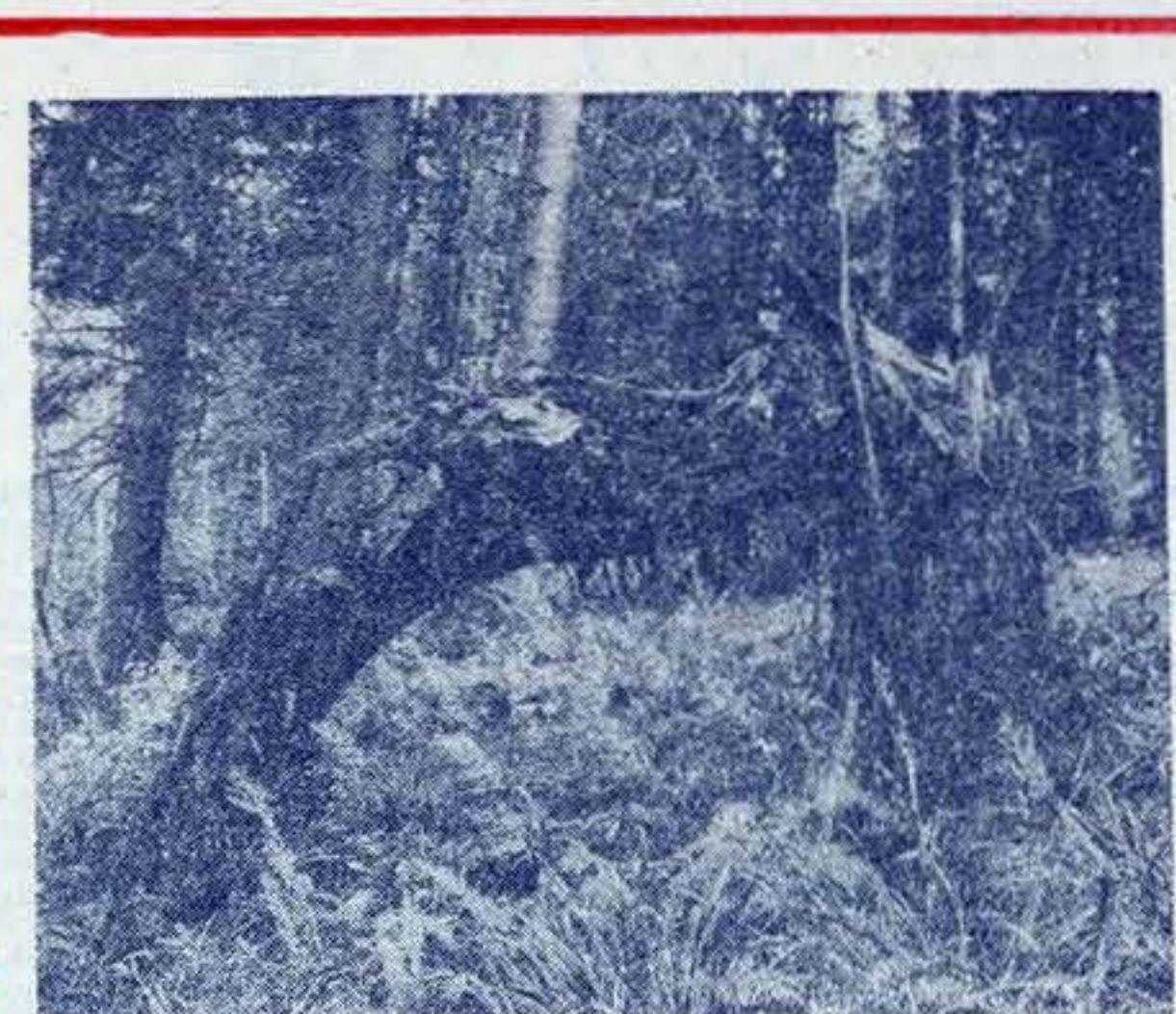
statyczne prowadzenie dziennika, na zasadzie „nulla dies sine linea” — na temat którego krąży legenda?

— To długa historia, już od 35 lat. I pewna forma samokontroli a przede wszystkim — chęć utrwalenia relacji między mną a otaczającym mnie światem, ludźmi, w miarę upływającego czasu. To wzięło się z mojej niedyskiej fa scynacji „Dziennikami” Franza Kafki, Stefana Żeromskiego, innych wielkich twórców. To moje ulubione lektury, sporo ich mam w swojej bibliotece. Najświeższa zdobycz — to „Dzienniki” Marii Dąbrowskiej. Cóż to za wspaniałe źródło wiedzy o życiu! Oczywiście, te o których mówię, to arcydzieła. Ja nie mam takich ambicji. Ale moje dzienniki — ponad 40 trzynaścioro- wanych zeszytów ma dla mnie duże znaczenie. To dokumentacja mojego życia. Na razie nie udostępniam ich nikomu. Sam przeglądam się w nich, poszukując sensu tego co robiłem i robię.

— Wiesz to, że zajmujesz się jeszcze stolarstwem artystycznym, nie powinno nikogo zaskoczyć. Widzę w twoim mieszkaniu wiele oryginalnych sprzętów, łącznie z wykłonną łóżnicą i ciężkim stołem, który posiada tak idealnie równy blat, że nie sływa zeń kropla wody. Dyrektor Grzegorz Chmielewski ma zamiar częściej twojego dorobku także i w tej dziedzinie pokazać na specjalnej wystawie. Cóż więc jest twoją nieodłączną miłością?

— Chyba poezja, którą mi przypisuje. Interesuję się nią od czasów Andrzeja Bursy, który był idolem naszego pokolenia. Ale nie jestem poetą. Cza sem usiłuję nim być. To są chwile szczególne i dzięki nim czasem czuję się lepszy.

— Życzę ci jak najczęściej tych szczególnych chwil.



Beata Ananiewicz-Szmidt

Fot. ZDZISŁAW DADOS

słowa

jestem jak wierna krew a mimo to porzuciłam cię
jestem jak czekanie w kropki światła gwiazdy
obłąkana podróżnie
jestem teraz
sama nie wiem
stara z niepokoju żałowna jak człowiek
i pusta
jak milczenie

Śmierć Salome

Czule smakując czarnogrzbite litery
listu Asmeta
Salome: Jesienne sny na rozproszonych
skrzydłach Cierpnie noc Jakże cierpnie noc
Podobne umieraniu poznawanie ust
nie smakuje już ciszą późnych ptaków
Spróbujmy odlecieć
kiedy poniewczasie ktoś nam
stara się przybliżyć słowo
— ja na ziemi Na tej ziemi
przeczuwam nową śmierć

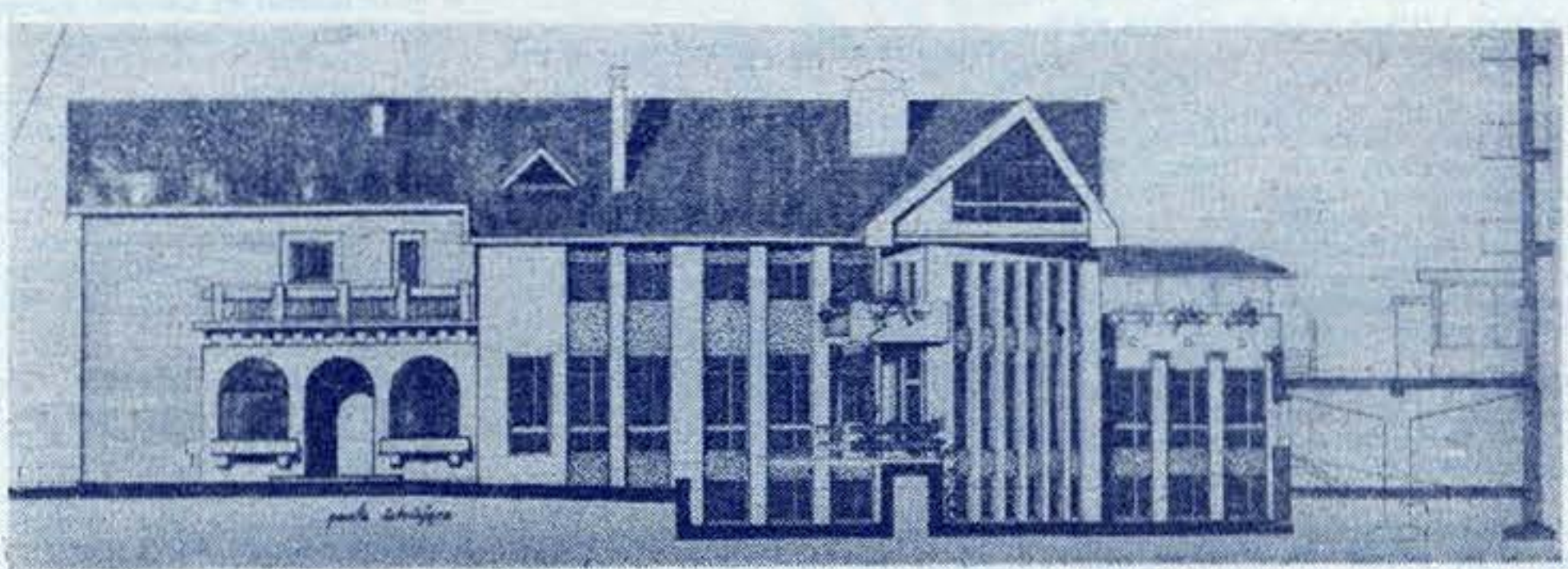
wiersz w kwietniu

możesz mnie kochać po sezonie
nikt nie będzie nam miał tego za złe
nikt nie zapłaci po nas oddalających się
niespodziewanie od światła erotycznych jezior
nikt nie zatroszczy się o nasze puste oddechy
gotowe do długiej miłości
nikt nie będzie trzymał nas w dłoni
ani nie nakłuje ostrzem ognia
dopiero wtedy będziemy mogli przyrzec sobie
długą nieprzymuszoną zimę
i ścigać po skórze blade jaskółki lęku
— padający śnieg

Tam i tutaj

Coś co nie miało nazwy chociaż było nazwane
co krzychało z zamkniętymi ustami
pod wypukłą powieką strachu
tam i tutaj na dole
Do pewnego stopnia zrozumiane
wyspiewane na polach chmur
przywiązane do nas
wznoszących się ponuro
tam i tutaj na dole
Oszczędzane i mozolnie gromadzone
mogło trwać długo choć nieme
we własnym oddechu
tam i tutaj
gdzieś z tyłu w pajęczym kącie
tylko patrzy nic więcej
niewidzącym wzrokiem
należąc do wszystkich
tylko nie do nas
ach jakie spokojne
tam i tutaj na dole

Nowa poczta wg projektu Florkowskiego



Królowa z łopata

Ciąg dalszy ze str. 1

le miliardów złotych. Objawili niedo-
rzalność. Reagowali w sposób typowy
dla początków kapitalizmu. Przypomi-
nali angielski ruch burzycieli maszyn.

Zamiast solidnych syntez, mamy wła-
śnie przyczynki i stek przynębiają-
cych frazesów — od heroizacji, po zie-
skrywaną pogardę. Robotnik z kilofem
i łopata, choć są to narzędzia pracy
już ze skansenu, w oczach wielu ma
zawsze rację. Człowiek z suwmiarką
lub mikromierzem, rekwiizytami postę-
pu, też robotnik, nie zawsze rację mieć
musi. Nie cechuje go bowiem prostact-
wo będące zaprzeczeniem wysiłku in-
tektualnego.

Skoro nie ma pewników, na których
można się opierać, jest miotanie od
ściany do ściany. Intuicyjne. Intelaktu-
alista demonstrujący przybliżenie do
klasy robotniczej, zamiast przecinków
i kropek, pauze w mówieniu zastępuje
wyrazami obscenicznymi. Lekarz, któ-
remu pacjent skarży się na ból głowy
mówiąc: „mam migrenę”, prostuje na
tychmiast: „Migrenę może mieć moja
mama, żona, ja — wam po prostu łeb
napierdala!” Oficjele mają żal do ro-
botników, że strajkują. Rozczarowani
ich postawą, załamują ręce, że strajki
są, że mają charakter destrukcyjny i
że wreszcie są nielegalne. Jako legalis-
ta, nielegalność strajku postawiłbym na
siedemnastym miejscu ich definiowania.
Skoro strajk w stoczni jest nielegalny,
a sprzecznym z prawem jest, to jego szef
Lech Wałęsa musi być przestępcą.
Przestępca Lech W. zamiast zająć się
poszukiwaniem porządnego adwokata,
czyta zaproszenie do zajęcia miejsca
przy okrągłym stole z gen. Kiszcziakiem.
Paryż wart jest mszy! Lech W. byłby
głupkiem nie korzystając z zaprosze-
nia, choć kto wie? Jest to człowiek —
jak reakcje klasy robotniczej — trud-
no przewidzieć. Już niedługo do-
prowadzi do osłupienia. Może zrezy-
gnuje z ciastka podawanego na okrągły
stół?

Karol Marks, dziesiętnastowieczny
współtwórca filozofii klasy robotniczej,
dał jej narzędzie, które w wielu kra-
jach pozwoliło spełnić historyczną misję
budowy lepszego ustroju społecznego.
Miał rację. Posługując się znanymi
sobie realiami społecznymi, Markso-
wi zdarzyło się przypisać klasie robo-
tniczej cechę strategicznej nieomyślno-
ści, która dzięki instynktowi jest zupeł-
nie niepodatna na manipulację. Teraz
to doświadczenia wiemy, że jest inaczej.
Wola klasy robotniczej można manipu-
lować. Nawet wbrew jej strategicznemu
integrowi. Dowodzi tego działalność
sztabów doradczych przy strajkujących,
ale jeszcze bardziej cała epoka w roz-
woju socjalizmu, z której skutkami ma-
my i dziś do czynienia, dokonująca się
pod znakiem straszliwej osobowości
Stalina.

W szeregu wysoko rozwiniętych kra-
jów kapitalistycznych, partie komunis-
tyczne, teoretycznie najpełniej wyraża-
jące podstawowe interesy klasy robotni-
czej, zajmują zupełnie symboliczne
miejsce w tamtejszym życiu politycz-
nym. Stany Zjednoczone Ameryki są

równie dalekie od socjalizmu, jak dale-
kie były za życia Marksa. A z pewno-
ścią jeszcze dalej. Skarga, że klasa ro-
botnicza poszła na łep burżuazji, któ-
rą przecież miała zniszczyć, nie nowego
nie wnosi. Partie komunistyczne nie-
których krajów Zachodniej Europy,
płacą dziś srogi rachunek za to, co sta-
ło się, a co przynębiłobyśmy jak najprę-
dziej zapomnieć w Europie Wschodniej.
Życie ludzkie jest krótkie i z jego cza-
ry wypić należy jak najwięcej zżę-
cia. Ale utratę elektoratu, strefy wpły-
wów, taką KPF zawiadująca nie tyle
sierniętnemu modelowi socjalizmu re-
prezentowanemu przez Europę Wschod-
nią i nagłej hedonizacji robotników fran-
cuskich, nie tylko własnym błędem.
KPF traci wpływy na życie polityczne
we Francji również z powodu zmian
dokonujących się w tamtejszych struk-
turach społecznych wynikających z e-
wolucji bazy ekonomicznej. Tradycyj-
ny wizerunek robotnika, tego z łopata,
którego my tak ciągle hołubiemy, sta-
je się tam pojęciem historycznym. Tak-
ich robotników po prostu już tam nie
ma. W Stanach Zjednoczonych tylko
nie wielki procent aktywnej siły robo-
czej udaloby się zakwalifikować pod
pojęcie „robotnik”. Pracownicy znajdu-
ją swoją egzystencję przede wszystkim
w szeroko pojętych usługach, sektorze
u nas w Polsce znajdującym się w po-
wójkach. Największy potencjał siły re-
prezentują w Stanach Zjednoczonych
nie górnicy, hutnicy, i nie ludzie z prze-
mysłu samochodowego. Największą siłę
reprezentuje związek zawodowy trans-
portowców, kierowców ciężarówek, któ-
rych trudno zamknąć w czterech ścia-
nach, wiązać personalnie z innymi kie-
rowcami. Według prognoz ostatni robo-
tnik zniknie z japońskich statystyk za
niewielką trzycięć lat, między 2015
a 2020 rokiem. W wysoko rozwiniętych
krajach do drzwi stuka problem odmie-
nnego podziału dochodu narodowego,
innej dystrybucji dóbr, kwestia zagro-
szenia czasu wolnego. Dziś w
tych krajach bezrobocie. Wydaje się,
że jest to trwały element tamtejszych
struktur społecznych. Czy to, co się klu-
je w Japonii i innych krajach wysoko
rozwiniętych jest przesłanką realizacji
wizji społeczeństwa socjalistycznego, ty-
le że na innej zasadzie? Trudno mi na
to pytanie odpowiedzieć.

Stalin ubrał socjalizm w gipsowy gor-
set wymodelowany na jego indywidual-
ną miarę. Teraz ten gorset pęka właści-
wie wszędzie. W zjawisku tym zaciekle
przeciwnicy socjalizmu widzą znamie-
na kryzysu. I chyba mają rację. Kry-
zys jest, ale socjalizmu w pojęciu dog-
matycznym, stalinowskim.

Właściwie to, co dokonuje się teraz
w krajach naszego obozu, jest niczym
innym, jak przystosowaniem pojęcia
dość abstrakcyjnego, do realnych wa-
runków społecznych, zróżnicowanych,
nieporównywalnych. Jeśli dogmat nie
wytrzyma konfrontacji z rzeczywisto-
ścią, należy go porzucić w miarę bez-
boleśnie. W dotychczasowej praktyce,
w imię ocalenia dogmatu, porzucano
rzeczywistość. Cena tego procederu by-
ła okrutna. Doprowadzała społeczeń-
stwa do ciężkich chorób. W Polsce do sta-
nów zawałowych. Wznieśliśmy, wchodzi-
my w proces oświeceniowy, nie pozba-
wiony ryzyka, szans popołnienia kolej-
nych błędów. Jednak innego wyjścia
nie ma.

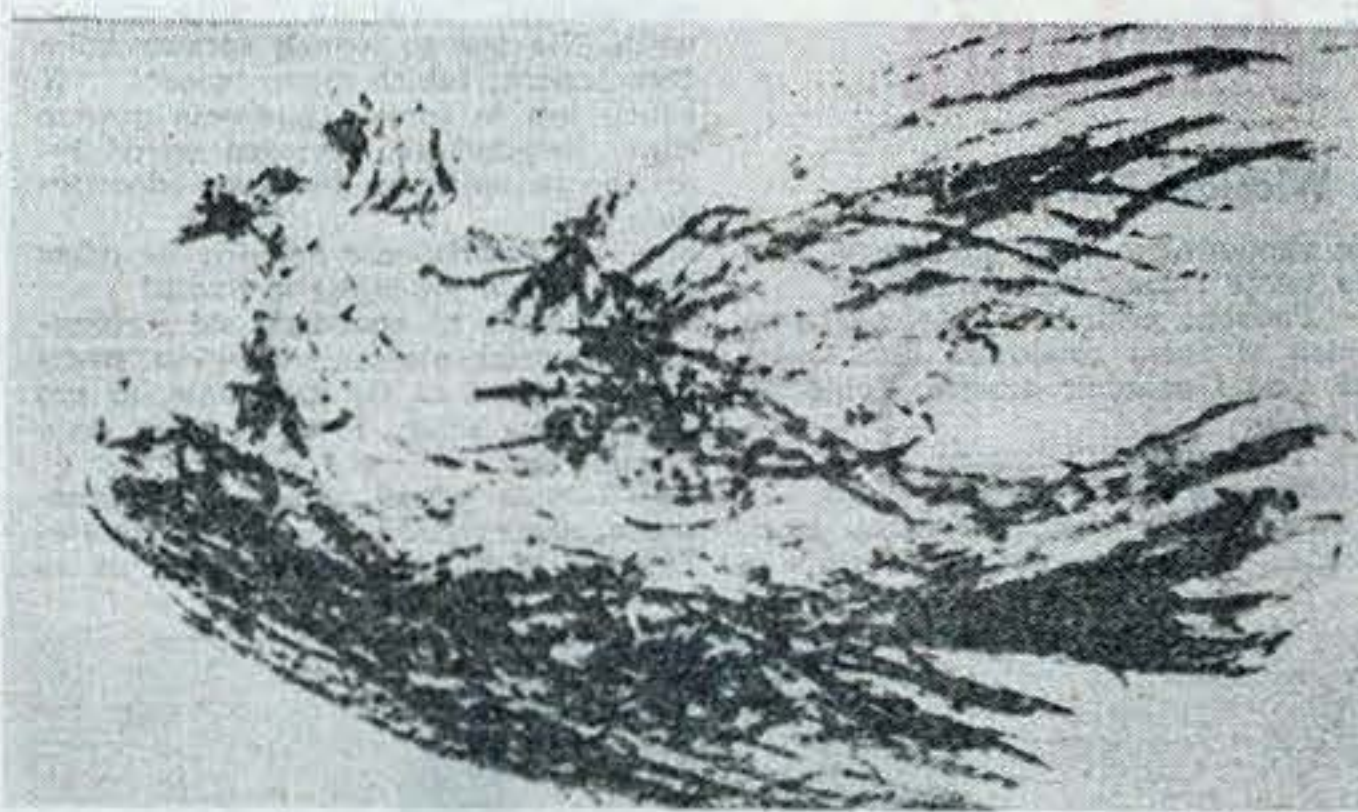
1.IX.1988 r.

RYSZARD ROWIŃSKI

Ciąg dalszy ze str. 1

zbyt surową, jego zdaniem, ocenę po-
lityki mocarstw zachodnich.
Byli na Kongresie i wystąpienia kurio-
zalne. Byli wiceminister sprawiedli-
wości USA, a zarazem sędzia Trybu-
nału Sprawiedliwości — J. Rogge, ra-
tunek przed wojennym zagrożeniem w
dział w przymusowym poddaniu wszy-
stkich polityków psychoanalizie, aby u-
wolnić ich od drżmiących w podświad-
omości każdego człowieka agresji.

POŚLANIE ZNAD ODRY



Znamienąca była replika radzieckie-
go publicysty D. Zaslawskiego na za-
rzuty Huxleya, skierowane przeciwko po-
lityce kulturalnej w ZSRR, radykalnie
przeciwstawiającej się formalizmowi w
sztuce. Zaslawski sarkastycznie zauwa-
żył, iż sposób, w jaki ZSRR odnosi się
do formalizmu z pewnością nie wywo-
ła trzeciej wojny światowej. Natomiast
fakt, że w USA większą część prasy
zależy od koncernów kapitalistycznych,
może przyczynić się do wybuchu woj-
ny.

Niemcy na Kongresie wrocławskim to
osobny problem. Było ich trzynastu a
wśród nich powieściopisarka A. Seghers
i A. Busch — ten, który pierwszy w
publicystyce niemieckiej miał odwagę
oświadczyć, iż granica na Odrze i Nysie
Łużyckiej musi być również dla Niem-
ców ostateczną granicą pokoju.

Uczestnicy Kongresu zgodnie zauwa-
żyli, że najważniejszym czynnikiem w
walce o pokój jest zacieśnienie solidar-
ności i międzynarodowej współpracy in-
tektualistów. Tę historyczną misję o-
brony pokoju ludzie nauki i kultury bę-
dą mogli spełnić tylko przy poparciu
mas pracujących całego świata. Propa-
gandzie wojennej należy przeciwstawi-
ać propagandę antywojenną. Myśl te
podkreślali delegaci, zwłaszcza z Polski.
Na Kongresie stworzono możliwość
wypowiedzenia się przedstawicielom
krajów Trzeciego Świata. Podkreślali
oni, że z ich strony nie grozi żadne nie-
bezpieczeństwo tradycjom kultury euro-
pejskiej. Rozwój kultury ogólnoludzkiej
może nastąpić tylko w warunkach wzaje-
mnego przenikania się pewnych orygi-
nalnych cech różnych kultur narodow-
ych. Walka o pokój i wolność powin-
na utożsamiać się z walką o kulturę.
Większość pisarzy z krajów kolonial-
nych i zależnych zgodnie podkreślała,
że uciek i polityka dyskryminacji raso-
wej, prowadzona przez mocarstwa za-
chodnie, stanowi groźbę dla światowe-
go pokoju.

Podsumowaniem obrad Kongresu sta-

ła się rezolucja, stanowiąca wynik wie-
logodzinnej debaty prowadzonej przez
specjalną komisję. Rezolucja spotkała
się z protestem tylko 11 uczestników
(przedstawicieli delegacji amerykań-
skiej i brytyjskiej). Stwierdzono, iż
„Kultura ludzkości ocalona została za-
cenę niespotykanych dotąd ofiar, dzie-
ki ogromnemu nateżeniu wszystkich
sił działających — Związku Radzieckie-
go, narodów W. Brytanii i Stanów Zje-
dnoczonych Ameryki Północnej i boha-
terskiej walce oporu narodowego w kra-
jach napadniętych przez faszyzm. Jed-
nak garstka ludzi w Ameryce i Euro-
pie, którzy przyjęli w dziedzictwie po

Międzynarodowy Komitet Łączności In-
tektualistów w Obronie Pokoju z
siedzibą w Paryżu i zalecono utworze-
nie komitetów w poszczególnych kra-
jach.

Po zakończeniu obrad uczestnicy Kon-
gresu udali się do Warszawy, gdzie zo-
stali przyjęci przez prezydenta Bolesła-
wa Bierut i premiera Józefa Cyrankie-
wicza. W następnych dniach grupy de-
legatów zwiedzały Muzeum Narodowe,
Zelazową Wolę, Kraków, Oświęcim, Be-
skidy, Białowieżę. Grupa intelektualistów
amerykańskich i brytyjskich zaofero-
wała swój udział w odbudowie zniszczo-
nej Warszawy. Najbardziej szokujące
wrażenie wywierała na uczestnikach
Kongresu widok odbudowującej się War-
szawy, która w opinii delegacji skan-
dynawskich stanowiła, najlepszy argu-
ment, że Polacy nie chcą wojny.

G.O. Rogge zagorzały zwolennik wal-
ki z agresją poprzez psychoanalizę, po
zwykłej tendencji do rozstrzygnięcia wszy-
stkich spraw siłą oręża, znowu gotuje
zamach na dorobek duchowy narodów
świata. (...) Kongres protestuje przeciw
korzystaniu z nauki dla celów zniszcze-
nia i używania do zmobilizowania wszy-
stkich sił, aby szybko rozpowszechnić
wiedzę po całym świecie i zżytkować
środki naukowe do szybkiego zwalczania
nędzy, ciemnoty, chorób i niedo-
statków, od których cierpi większość
ludkości.

W końcowej części rezolucji zawarty
został apel o „organizowanie krajo-
wych kongresów działaczy kultury w
obronie pokoju, tworzenie krajowych
komitetów obrony pokoju, umacnianie
w interesie pokoju międzynarodowych
wzajemnych, łączących działaczy kultury
wszystkich krajów.

Wrocławski Kongres Intelktualis-
tów nie był sensu stricte konferencją
pokojową. Był Kongresem Pokoju. Zje-
dnoczył ludzi nauki, literatury i sztuki
najrozmaitszych poglądów politycznych.
Przedstawiciele wszystkich sił postepo-
wych, a więc marksistów, katolików i
liberałów. Wykazał, że możliwa jest
współpraca między nimi. Ze wspólna
wola pokoju, postępu i poczucie wspól-
noty kulturalnej mocniejsza jest od róż-
nic, które ich dzielą. Obrady wrocław-
skie miały na celu ustalenie jak najści-
ślej i najdokładniej środków w walce o po-
kój. W myśl założeń organizatorów nie
miał to być kongres polityczny, lecz
akt obrony człowieka i narodów przed
największą z groźb im katastrof —
wybuchem wojny.

Centralnym problemem Kongresu by-
ły zagadnienia walki o pokój i kwestia
szczegółowej odpowiedzialności twórców
i działaczy kultury. Chodziło nie tylko
o zmanifestowanie poparcia intelektu-
alistów dla walki o pokój, lecz także o
znalezienie praktycznych środków, które
by mogły wprowadzić w czyn uchwa-
ły Kongresu. W tym celu powołano

Na atmosferę tamtych dni złożyły
się również trudności natury organi-
zacyjnej. Czytając relacje przewodników
polskich opiekujących się delegacjami
zagranicznymi dowiadujemy się, że tru-
dności wystąpiły z organizacją trans-
portu delegatów, zawiadła organizacja
niektórych imprez towarzyszących. Sek-
cja przewodników miała kłopoty z tu-
maczami, którzy nie zawsze znali bie-
głe język obcy. Niektórzy delegaci jak
E. Blomberg ze Szwecji nieufnie odno-
sili się do przewodników uważając ich
za „agentów bezpieczeństwa”. Wierzy-
li w „żelazną kurtynę”, że nie wolno
swobodnie poruszać się po Polsce. Jed-
nym z członków delegacji amerykań-
skiej pytał polskiego przewodnika, czy
to prawda, że Polska otrzymuje wszy-
stkie instrukcje z Rosji, na co drugi
Amerykanin replikował: „Je nie wierzę
w to, choć nie widzi w tym nic złego,
pod warunkiem, że instrukcje otrzymu-
wane z Rosji były słuszne i miały na
uzupełnienie dobro narodu polskiego”. Zda-
wały się też kompromitujące sytuacje.
W Poznaniu na dancingu w restauracji
„Moulin Rouge” pijany mężczyzna skar-
żył się Anglikowi, iż komunizm „prze-
sładuje go, ograniczając wolność itp.”
W rozmowach kulturalnych delegaci buł-
garscy podkreślali, że Bułgaria na dro-
dze do socjalizmu mocno wyprzedziła
Polskę. Świadczyć o tym miał widok
zapelnionych polskich kościołów pod-
czas nabożeństw.

Kongres odegrał dużą rolę w poinfor-
mowaniu światowej opinii publicznej o
polskich problemach. Było to o tyle
istotne, gdyż obraz naszego kraju był
przez zimnowojenną propagandę bar-
dzo zniekształcony i uproszczony. Już
sam fakt przyjazdu do Polski tylu wy-
bitnych intelektualistów, świadczący o
przełamaniu bariery „żelaznej kurtyny”
i wpłynął korzystnie na zmianę dotych-
czasowych negatywnych postaw wobec
Polski. Dla polskiej racji stanu rzecz
wielkiej wagi był fakt, iż Kongres od-
bywał się w starym pałacu w Wro-
cławiu. W tym czasie oficjalnie kółka
na Zachodzie podważały prawa Pola-
ków do Ziemi Odzyskanych. Poparcie
dla Polski ze strony czołowych prze-
stawicieli światowej opinii publicznej
było nader cenne.

Program walki o pokój zawarty póź-
niej w planach Rapackiego, Gomulki i
Jaruzelskiego — świadczy dobitnie o
wysilkach naszego państwa w walce o
zapobieżenie katastrofom nowej wojny
światowej.

JAN GOLEC

W notesie oficera MO

Zabójstwa w rodzinie

Statystyka wskazuje, że wśród zabójstw dominują przypadki spowodowane kon-
fliktami. Są to zazwyczaj konflikty rodzinne i małżeńskie.

Biorąc za obiekt badawczy grupę sprawców zabójstw, obejmującą 32 osoby —
w tym 8 kobiet, stwierdzamy, że jedna spośród nich popełniła pięć zabójstw,
jedna trzy i jedna dwa. Wśród 32 zabójstw dwadzieścia przypadków stanowią za-
bójstwa współmałżonków. Analiza okoliczności w tej grupie zabójstw, wskazuje
bardzo dużą różnorodność.

W Malomicach w pobliżu Szprotawy
Helena P. nożem kuchennym
zabiła swego kochanka Edwarda
W., z którym żyła i mieszkala 21 lat.
Zgon nastąpił po trzech uderzeniach no-
żem w okolicę serca. Zabójczyni w chwili
dokonywania czynu oraz jej ofiara,
znajdowali się pod wpływem alkoholu.
Do krytycznego momentu doszło w wy-
niku ostrej kłótni.

W Dalkowie koło Głogowa Emilia A.
zabiła swego męża przy użyciu siekier-
y i młotka. Podczas, gdy mąż pijany
aspi, zadawała mu liczne ciosy w głó-
wę. Następnie zwozi poraźnika na ka-
wałki i przy pomocy 11-letniego syna
zaniósł w wannie do chlewu. Tam pod-
łożyła je pod obornik, gdzie zostały cze-
ściowo poszarpane przez świnię. Biegli
psychiatry nie stwierdzili u Emilii A.
choroby psychicznej ani niedorozwoju
umysłowego. Opinia ich brzmiała: „oso-
bowość prymitywna o cechach psycho-
patycznych”.

W obu przypadkach do zabójstwa do-
szło w wyniku konfliktowych sytuacji
rodzinnych i w obu pewną rolę odegrał
alkohol.

W przypadkach zabójstw na tle nie-
porozumień rodzinnych, u sprawców
często stwierdza się długotrwałe, wcześ-
niejsze okresy stresów. Przychodzi mo-
ment, że stres długo tłumiony nagłe
wywala się i następuje targnięcie na
życie osoby, której zachowanie było
przyczyną takiego stanu.

Zdarza się też, że do zabójstwa do-
chodzi na skutek doraźnego i dość bla-
kiego konfliktu między sprawcą, a
ofiara. Wtedy zazwyczaj zaznacza się
negatywny wpływ alkoholu.

Mówiąc o zabójstwach na tle niepo-
rozumień rodzinnych, warto poświęcić
nieco miejsca sprawcy, który przed la-
ty w dość krótkim okresie dokonał pię-
ciu zabójstw.

Do KW MO w Zielonej Górze zgło-
siła się Wanda P. mieszkająca w
Katowicach, która zawiadomiła
o zaginięciu swej siostry Zofii B. i jej
dwójki dzieci. Podjęte przez milicję
czynności doprowadziły do przedstawie-
nia zarzutów Czesławowi M., który od
dziesięciu lat zamieszkiwał z zaginioną.
Ustalono następujące fakty.

Czesław M. po porzuceniu swej żony,
przyjechał do Zar. Zamieszkał tu z
rozwódka Zofią B. oraz z jej 8-letnią
córką Elżbietą P.

Początkowo polityce tych dwojga u-
kładało się dobrze. Wkrótce przesyłał
na świat ich wspólny syn Ryszard. Jed-

nak z czasem coraz częściej zdarzały
się kłótnie. Powodem była głównie
skłonność Czesława M. do alkoholu.

Pewnego wieczoru, gdy Czesław M.
wroczył z pracy do domu nietrzeźwy, do-
szło do sprzeczki, w trakcie której Zo-
fia B. uderzyła go szcztoką. Wówczas
Czesław M. ujął leżący przypadkiem
na stole młotek — i zadał nim kobie-
cie kilka ciosów w głowę, powodując
zgon na miejscu.

Następnie poszedł do pokoju, w któ-
rym spała Elżbieta P. i tym samym
młotkiem pozbawił ją życia. W drugim
pokoju spał jego syn, Ryszard. Jego
również Czesław M. zabił w ten sam
sposób.

Nazajutrz zjawił się normalnie w pra-
cy.

Tego samego dnia po powrocie do do-
mu porabiał na desce zwłoki wszyst-
kich trojga i przeniósł do piwnicy,
gdzie po wykopaniu dołu, zabetonował.

Sąsiadom opowiedział, że Zofia B. po-
rzuciła go i wyjechała w nieznanym
kierunku. Dla odświeżenia od siebie ja-
kichkolwiek podejrzeń, zgłosił nawet
o rzekomym wyjeździe Zofii B. w ko-
mandzie MO, prosząc o pomoc w odszu-
kaniu kobiety.

Po upływie kilku miesięcy Czesław
M. poznał Stanisławę D., którą wkrótce
sprowadził do siebie, wraz z jej siedmio-
letnim synem Markiem H. Podobnie
jak w poprzednim związku, tak i teraz,

pożycie tych dwojga początkowo było
zgodne. Jednak po pewnym czasie za-
częło dochodzić do nieporozumień, któ-
re kończyły się rękoczynami. Powodem
był zazwyczaj alkohol, a także nieuza-
sadnione podejrzenie Czesława M., że
kochałka go zdradza.

Wreszcie doszło między nimi do gwał-
townej kłótni, zakończonej zabójstwem
Stanisławy D. Czesław M. posłużył się
tym samym młotkiem, którym wcześ-
niej pozbawił życia Zofię B. I teraz tak
że pomyślał o dziecku: wszedł do poko-
ju, w którym spał Marek H. i w podob-
ny sposób zabił chłopca młotkiem. Zwi-
ki ofiar porabiał na kawałki, zakopał w
piwnicy i miejsce zabetonował.

W toku śledztwa wyjaśniał, że dzieci
zabił dlatego, „gdym nie potrafiłby im
wyłamać, co się stało z ich matką”.
Biegli psychiatry stwierdzili u
Czesława M. zmiany charakterologiczne
na tle encefalopatii. Wyrokiem Sądu
Wojewódzkiego w Zielonej Górze za-
bójca został skazany na karę śmierci.
Wyroek wykonano.

Na marginesie tej oraz innych
spraw o zabójstwa, których pod-
łożem były konflikty rodzinne,
warto zaznaczyć, że jest to grupa prze-
stępstw, w których jakiegokolwiek dzia-
łanie profilaktyczne leży poza możli-
wościami organów ścigania.

MAREK KIM

29 czerwca 1944 roku na specjalnie w Berlinie zorganizowanej naradzie spotkali się: dr Graeher z Wydziału Samorządowego Prowincji Śląskiej, radca Denninger, reprezentujący pełnomocnika Talleyranda hrabiego Welczecka, dyrektor w departamencie ministerstwa spraw wewnętrznych Rzeszy dr Fuchs. W spotkaniu uczestniczył minister i szef kancelarii Führera dr Lammers. Minister zakomunikował zebranym, że w kwestii zagąńskich zapadły decyzje na najwyższym szczeblu. Lammers ujął to w pięciu punktach:

- 1) Wydział Samorządowy Prowincji Śląskiej nie jest w stanie ze środków finansowych będących do jego dyspozycji sfinalizować transakcje

nie już bez dozoru. Meska załoga obsługi pałacu została powołana do wojska; wyznaczono do pomocy cudzoziemscy robotnicy są ludźmi niepełnymi. Jedyną osobą, będącą do mojej dyspozycji, jest 63-letnia pani Jesczek, kasztelanka pałacu. Dwa półciężarowe samochody, będące własnością zarządu lenna, zostały zarekwirowane... W piśmie z 9 sierpnia Knigge zwraca się o wyrażenie zgody na przydzielenie mu grupy jeńców francuskich z miejscowego obozu jenieckiego. Wniosek swój uzasadnia, że... jeńcy francuscy byłby najpewniej szymi ludźmi w pilnowaniu zgrupowanego dobytku oraz podczas ewakuacji

z tej samej nocy, w asyście patrolu dwóch motocykli z bronią maszynową, kolumna opuściła Zagania, kierując się bocznymi drogami do Kliczkowa. W piwnicach zagąńskiego pałacu pozostało 47 skrzyń i innych opakowań, nie licząc pewnej ilości zabytkowych przedmiotów, które znajdowały się jeszcze w pomieszczeniach na piętrze skrzydła kurlandzkiego i wallensteinowskiego. Z załączonego do raportu wykazu wartości ponumerowanych skrzyń przed transportem do Kliczkowa stwierdzić można, że wśród ewakuowanych dzieł sztuki i zbiorów bibliecznych nie było unikalnej kolekcji listów i manuskryptów Doroty Talleyrand-Perigord, zawierającej między innymi rękopisy Goethego, Schillera, Dumasa-ojca, Hugo, Stendhala, zapisy nutowe Beethovena, Wagnera, Liszta, listy Maurycego Talleyranda, Metternicha, Aleksandra von Humboldta, Adama Jerzego Czartoryskiego, Aleksandra Fredry i wielu innych znakomitości świata politycznego i artystycznego. Kolekcja ta musiała więc jeszcze znajdować się w którejś ze skrzyń w piwnicach pałacu. Sprawa ma posmak sensacji, gdyż do tej pory nie odnaleziono tego zbioru w oryginalnej formie. Istnieje natomiast mikrofilm tej kolekcji, będący w posiadaniu Biblioteki Kongresu USA w Waszyngtonie. W tym momencie pojawia się tajemnicza postać niejakiego dra Hutha, który z polecenia Pruskiej Biblioteki Państwowej miał na początku lat czterdziestych sporządzić ów mikrofilm na miejscu, w Zaganiu. Jednakże pozytyw nigdy nie został zarejestrowany w zbiorach mikrofilmowych biblioteki. Także postaci dra Hutha nie rejestrują spisy personalne byłej Pruskiej Biblioteki Państwowej. Kim był więc dr Huth? Kiedy i w jakich okolicznościach sporządził mikrofilm? Jakimi drogami dotarł do obecnego miejsca przechowywania? Rzeczą wątpliwą jest, aby kiedykolwiek odpowiedziano na te pytania. Niektóre źródła francuskie podają, że po zajęciu Zagania przez wojska radzieckie w lutym 1945 roku, dwaj oficerowie, jeden w mundurze armii francuskiej, drugi — amerykańskiej, legitymujący się specjalnymi przepustkami naczelnego dowództwa radzieckiego, penetrowali zabudowania kompleksu pałacowo-parkowego w Zaganiu, w poszukiwaniu skrzyń z dokumentacją archiwalną tzw. „Archiwum Talleyranda” i że „zabrali oni kilka skrzyń z papierami byłego archiwum pałacowego”. Inna informacja, także przejęta z źródła francuskiego głosi, że po zakończeniu działań wojennych pojawił się w Zaganiu „pewien dyplomata holenderski, interesujący się pozostałościami w pałacu przedmiotami i papierami, któremu radziecka administracja wojskowa nie przeszkadzała w inspekcji obiektu”. Istnieją przypuszczenia, że tym dyplomata był nikt inny jak Hanno von Welczek, był pełnomocnik Talleyranda do spraw sprzedaży lenna tronowego Zagania.

Na tropie zagąńskich dzieł sztuki

Tajemniczy dr Huth

Jerzy Piotr Majchrzak



Hanno von Welczek, ambasador Rzeszy w Madrycie, od czerwca 1938 r. także w Paryżu, pełnomocnik Talleyranda do spraw sprzedaży lenna zagąńskiego.

kupna lenna zagąńskiego zgodnie z warunkami jego dotychczasowego właściciela.

- 2) Możliwość otrzymania dotacji z funduszy będących do dyspozycji resortu spraw wewnętrznych Rzeszy należy w aktualnych warunkach wykluzyć.
- 3) Ewentualna interwencja banku Rzeszy w zakresie transferu sumy kupna w walucie francuskiej nie wchodzi w rachubę.
- 4) Władze Rzeszy w obecnej sytuacji nie widzą możliwości akceptacji warunków kupna lenna, zaproponowanych przez jego dotychczasowego właściciela.
- 5) Należy lokalnie doprowadzić do egzekucji paragrafu 250 Pruskiego Kodeksu Cywilnego, na podstawie którego 1 kwietnia 1935 roku podjęto decyzję o likwidacji lenna tronowego Zagania i włączenie go do majątku państwowego.

Ponadto Lammers oświadczył, że gaulter Hanke otrzymał odpowiednie instrukcje co do dalszego toku postępowania w ramach punktu piątego, od którego praktycznie nie ma odwołania. Führer podtrzymał swoją wolę włączyć majątek lenna, po uregulowaniu statusu prawnego posiadłości, do prowincji śląskiej, ale o sprzedaży majątkowości na warunkach podjętych przez jego dotychczasowego właściciela nie ma już mowy. Sprawa zabezpieczenia dzieł sztuki zagąńskiego pałacu powinna przebiegać według ustalonego planu, zakończył swój wywód minister Lammers.

Realizacja punktu piątego była w tym czasie praktycznie już niemożliwa. Naczelny Sąd Krajowy Prowincji Śląskiej, jedyny organ kompetentny do wydania orzeczenia egzekucyjnego w kwestii prawnej likwidacji lenna, po prostu nie zdążył ogłosić wyroku. Jedyną rzeczą, którą udało się jeszcze przeprowadzić, to podporządkowanie komisarzy cznego zarządu lenna specjalnemu pełnomocnikowi Rzeszy do spraw majątku „niepaństwowego”. Była to jednakże tylko zwykła formalność natury administracyjnej.

Tymczasem w Zaganiu Knigge bezskutecznie zabiegał o miejscowych władz wojskowych o przyznanie mu środków transportowych do ewakuacji skrzyń z dziełami sztuki i zbiorami biblieczными. 7 sierpnia 1944 roku raportuje w tej sprawie do Wrocławia: „Od dłuższego czasu, bez rezultatu, do mamam się w miejscowego komendanta wojskowego przysłać środki transportu do ewakuacji najcenniejszych zabytów sztuki. Pomieszczenia, w których zgromadzono dzieła sztuki są prakty-

cznie już bez dozoru. Meska załoga obsługi pałacu została powołana do wojska; wyznaczono do pomocy cudzoziemscy robotnicy są ludźmi niepełnymi. Jedyną osobą, będącą do mojej dyspozycji, jest 63-letnia pani Jesczek, kasztelanka pałacu. Dwa półciężarowe samochody, będące własnością zarządu lenna, zostały zarekwirowane... W piśmie z 9 sierpnia Knigge zwraca się o wyrażenie zgody na przydzielenie mu grupy jeńców francuskich z miejscowego obozu jenieckiego. Wniosek swój uzasadnia, że... jeńcy francuscy byłby najpewniej szymi ludźmi w pilnowaniu zgrupowanego dobytku oraz podczas ewakuacji

19 sierpnia zapadła decyzja o ewakuacji szpitala polowego, zajmującego do tychczas parter zagąńskiego pałacu. Jednocześnie Knigge otrzymuje polecenie przygotowania opuszczonych pomieszczeń pod zakwaterowanie kilkuset osobowej grupy internowanych Włochów. Decyzja ta wywołuje zdecydowany sprzeciw zarządcy pałacu. W piśmie do Hankego z 24 sierpnia Knigge stwierdza: „Ulokowanie internowanych żołnierzy włoskich w pałacu narazie zgromadzone tu zbioru na największe niebezpieczeństwo. Jeżeli sprawa nabierze realnych kształtów, nie biorę na siebie odpowiedzialności za bezpieczeństwo powierzonego mojej pieczy majątku. W celu uniknięcia kwatrowania Włochów w pałacu, proponuję obiekt zastąpić: budynki byłego konwiktów augustiańskich, których pomieszczenia całkowicie nadają się do ulokowania na czas przejściowy tak licznej grupy. Wejście Włochów do pałacu może jedynie mieć miejsce wówczas, jeżeli zbioru zostaną w najbliższym czasie ewakuowane w bez-

pieczne miejsce”, kończy swój wywód Knigge. Pierwsze kolumny Włochów przybyły do Zagania na początku października 1944 roku. Około 170 oficerów i podoficerów zostało ulokowanych w pokojach na parterze zagąńskiego pałacu. 11 października Knigge uzyskał zapewnienie zagąńskiego komendanta garnizonu ppk. von Gerlacha, że otrzyma do dyspozycji dwa samochody ciężarowe z przyczepami do celu ewakuacji skrzyń z zagąńskiego pałacu do Kliczkowa. Z raportu Kniggego do Hankego z 17 października wynika, że w nocy z 15 na 16 października 1944 r. nastąpił załadunek 23 skrzyń z dziełami sztuki i

Mówi bestia

Wieżenie St. Quentin, Nothern w Kalifornii, USA. Mężczyzna jest niski i szczupły, twarz ma pełną bruzd, a na czole z boku wytatuowany hakenkreuz. To Charles Manson. Przed 20 laty zamordował aktorkę Sharon Tate — żonę Romana Polańskiego i sześciorgo jej przyjaciół. Przed sądem utrzymywał, że „nie było to morderstwo, lecz święta wojna kierowana ręką szatana”.

Nie posłano tej obłąkanej bestii — na krzesło elektryczne. Wsadzono ją za kraty. Szybko znaleźli się tacy, którzy zrobili na tym interes. Filmy, książki, koszulki z nadrukiem, komiksy. Nawet show za wiele milionów dolarów.

Dziś 54-letni Charles Manson ma wielu sympatyków w kręgach neonazistów skich. Są wśród nich także okultyści, którzy uważają Mansona za człowieka nawiedzonego. Oto fragmenty wypowiedzi sławnego zbrodniarza, nagranych 4 kwietnia br. w więzieniu i opublikowanych w jednym z zachodniemieckich miesięczników.

GDY POWIEM — ZABIJ

Żyję w podziemiu. Mój świat, to haldy śmieci, kapuś. Biegnę w ciemnościach przez obskurne uliczki życia. Zdecydowałem się dać mi swoje życie, a wezmę je, będzie należało do mnie i zrobię z nim, co zechcę. Gdy powiem — zabij, będziesz zabijać...

Jeśli oddasz mi siebie, to już całkiem



Przed 20 laty zamordował aktorkę Sharon Tate — żonę Romana Polańskiego oraz sześciorgo jej przyjaciół...

i bez reszty. Nie będę twoim przywódcą, ani ty moim orszakiem. Obaj będziemy wolni. Myślę, że nie można ufać nikomu, tylko samemu sobie... Wszyscy mnie tutaj wykorzystują, rozumiesz? I wygrywają poprzez mnie własne, małe gierki!

MORDOWAŁEM LUDZI

Nie zabijałem nigdy drzew, kwiatów ani zwierząt, których zresztą nie jadłem. Nie zabijam chętnie. Ale mogę to zrobić tak samo lekko, jak ktoś inny zje stek albo ugotowanego kurczaka. Jestem Richardem Milhousem Nixonem! Kapujesz, co mam na myśli? Ale jestem na dnie, podczas gdy tamten stoi na górze i przyjmuje oklaski!

Noworodka kładą na wagę i mówią: „Baby, want you light my fire...” Dziecko rośnie i nikt nie wie, kim będzie w przyszłości. Będzie podpalaczem i pójdzie do zakładu poprawczego!

Dobrze już, dobrze. To ja zabiłem wszystkich ludzi od pierwszego dnia stworzenia. Mordowałem ich. Zabijałem. Wszak jestem dzieckiem wuja Jessa, który wysadził w powietrze siebie, swoje dzieci, psa myśliwego, konia i kury! Zrobił to, gdy przyszły te zaskarżone typy i chciały odebrać mu ziemie. Przez to właśnie on znalazł się w więzieniu śnie, tym samym, w którym żyję ja...

Więzienie. Jestem w nim od... 1943 roku. Zamknięty. Ale wolny. Siedzę po drugiej stronie cementarza. Przyglądam się, jak ludzie idą do piekła...

TE MAŁE GNIOJKI

Każdego razu, gdy opuszczam więzienie jako X, czy Y, dzieje się to samo. Rodzi się potem dziecko. Jego matka powoduje, że znów mnie zamykają, a ona bierze dziecko i wychowuje je do kładnie tak, by było, jak ona. Kiedy później widzę tego małego, tłustego gniojka, ma on twarz matki...

TEN CHOLERNY KRAJ

Nie będzie nigdy porządku w kraju, którym rządzi tacy niekompetentni idioci, jak Reagan. Tylko Hitler umiał

rzządzić. Potrafił podporządkować sobie cały świat. Został jednak pokonany. Czym powinien być porządek? Wolnością! Od prawa i ustaw! Tylko w zgodzie z samym sobą! Kurczę, lubię to! Dlatego identyfikuję się bardziej ze zwierzętami niż z ludźmi...

Ludzie wszystko niszczą. Wkrótce skończy się pożywienie, tlen, ropa. Skończy się pomysły. Jakiego pomysłu potrzeba, by rządzić tym cholernym krajem i narodem? Wziąć pejs?...
GRAM SWOJĄ ROLĘ

Wierzyłem w Elvisa Presleya? Ale Presley jest tylko cieniem kogoś, kto żył i umarł w Tennessee. W rzeczywistości wszyscy są aktorami, jak Humphrey Bogart i James Cagney...

Muszę umrzeć, żebyście uwierzyli we mnie? Wolaliby być kotem na pustyni, niż grać tę cholerną rolę i nosić to ciało, w którym siedzę! Przecież mógłbym grać każdą inną rolę! Myślę też, że już wszystkie grałem i czasem nie wiem, kiedy kogo grałem...

Wszyscy wszędzie grają. My tutaj mu symy odgrywać złych, żebyście wy tam mogli odgrywać dobrych. Ale wy jesteście gorsi, niż my! Jestem tu wyrzutkiem społeczeństwa, ale jeśli nie będziesz odnosić się do mnie z respektem, odpłacę się. Ja, to ten, co żyje we mnie w środku!

JESTEM SZATANEM

Każdy mój krok staje się historią. Prawda że w moim mózgu zagnieździły się robaki. Nie mogę tych krwiopiczów wyrzucić z głowy. Mówię im: „Wielki Boże, jeszcze nie zażartujcie się do syta? Dwa tysiące lat nie wystarczy, abyście mi doszli do gardła?”

Jestem Chrystusem i szatanem. Szatan odbił pieczęć na moim czole, widzisz? To ja jestem na autostradzie. To ja jestem w powietrzu. W twoich uszach, gdy słuchasz radia i pod swoją żyletką, gdy golisz się rano. Bóg jest szatanem, szatan Bogiem. Są we mnie, a ja w nich. Nie opowiadaj mi teraz bzdur o tym, w co wy wierzyście!

Było to tak. Wszyscy stanęli na górze. On tam był i w nocy umarł. I ja tam byłem, jedyna istota, jaka się do tego nadawała! On umarł, a ja znalazłem się w Stanach Zjednoczonych, gdzie przebywam do dzisiaj. Nikt ani nic tego nie może zmienić!

JESTEŚCIE PRZEKŁĘCI

Ileż to ludzi w tym momencie cierpi! Na to wygląda, że wszyscy jesteście przeklęci!

Ludzie nie są nigdy gotowi do śmierci. Gdyby tak było, nie zachodziliby po trzeba zabijania kogokolwiek. Mord nie jest niczym okropnym. Jedyne co jest okropne, to warunki, które mord powodują i prowokują go.

MIAŁEM NOŻ

Gdy siedziałem na moim motocyklu i miałem przy sobie noż, nikt mi nie podskoczył, w całym mieście. Ale moja dusza była muzyka. Była moja religia, rozumiesz? Tutaj muszę moją muzykę dawać w sobie. Tymczasem gdzieś tam nastolatki wariują i zabijają ludzi. Potem im się mówi: „Oh, zrobiliście świństwo!” W mojej muzyce jest to wszystko!

Można mnie poznać po rękach, palcach, ramionach, jest we mnie coś, czego nie wyrażisz słowem, kapujesz to chyba? Słowa, sam wiesz, to tylko bla-bla, kupa gówna, i czegoś takiego uczą w szkole!

(Nuci) Te gnioje odcinają mnie od mojej duszy, od mojej muzyki, od mojego brzmienia! Krądną mi je, maszerując wciąż tam i z powrotem!

PRZEŻYJĘ

Przeżyję to, słyszysz? A ci, którzy chcą, bym nie przeżył, sami nie przeżyją. Są tu tacy, którzy chcą umrzeć. Pytam ich: „Dlaczego nie szukacie sobie sami jakiejś drogi? Dlaczego przychodzą do mnie ze swoim umieraniem, strachem i tym całym gównem?”

Co robię? Gram moją muzykę, jeżdżę na moim motocyklu. Mam zwyczajny, dobry dzień... Opracowała: BEATA BARTOSIEWICZ

W CAŁYM KRAJU!

REKLAMA
w naszym piśmie tyje dwa tygodnie.
Zlecenia od przedsiębiorstw, instytucji
i osób prywatnych przyjmuje
BIURO REKLAM I OGŁOSZEN
Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego
Zielona Góra, al. Niepodległości 25
tel. 46-61 do 64

**ogłaszać się
w nadodrzku**

CYRK

Z Tadeuszem Jakubowskim - nauczycielem z Rzepina rozmawia Halina Ańska

— „Ręce same składają się do okłasków” — napisała „Gazeta Młodych” w ub. roku, kiedy Panska „Halastra” znalazła się wśród nagrodzonych w Turnieju Łgarzy i Kuglarzy w Bogatyni.

— Zdobyliśmy puchar tej redakcji i miano „Kuglarzy Roku 1987”.

— Pamiętnik zespołu zatytułowany jest „W krainie magii”. Oglądam go i dziwię się. Tyle świetnych ocen w prasie, tyle podziękowań i pochwał. To zdaje się „Ziemia Gorzowska” napisała, że „Halastra” jest jedynym cyrkiem dziecięcym nie tylko w Polsce, ale w Europie. Mimo to jakoś cicho o tym. Nie robicie kariery.

— Przedtem prowadziłem taki sam cyrk w Bielawie. Łącznie mam za sobą paręnaście lat pracy z dziećmi i ponad tysiąc występów. Moi synowie obliczyli, że „Halastra” ukazała się 36 razy w telewizji, oczywiście migawkowo, ale to cieszy. A co to jest kariera? Nie myślę o niej. Nie dorabiam się. Kocham dzieci, kocham cyrk. To wszystko.

— Skąd wziął się u Pana pomysł na cyrk?

— Od najmłodszych lat marzyłem o arenie i cyrkowym wozie. Los zrządził inaczej. Ukończyłem studia pedagogiczne i jestem nauczycielem. Znała moja rodzina. Przed dwoma laty przyjechał do Rzepina. Pracujemy w Technikum Leśnym, otrzymaliśmy mieszkanie. Ja kieruję internatem. Ale praca

V, zdolna i pracowita żonglerka i ekwilibrystka. Również z klasy V Ewa Duszek, iluzjonistka i ekwilibrystka, która robi tzw. drabiny i zbiera mnóstwo okłasków. Magda Piątek z klasy VI oraz Sylwia Kucharczyk, zdolna iluzjonistka. Rodzeństwo Julita i Norbert Szczepaniakowie, para żonglerów. To właśnie staraniom ich mamy zawdzięczamy piękne, kolorowe stroje. Wymie nilem artystów, można powiedzieć — dojrzałych. Są jeszcze inne dzieci zainteresowane sztuką cyrkową, które na razie stanowią tło.

— Nie wymieniał Pan własnych synów.

— Nie wypada się chwalić, więc zostawiłem ich na koniec. Maciek i Tomek mogliby już występować w każdym cyrku. Dużo umieją i to co robią, wykonują bezbłędnie. Młodszy, Tomek, który teraz ma 13 lat, w 1983 roku zdobył mistrzostwo kraju w kategorii juniorów, w turnieju organizowanym przez Krajowy Klub Iluzjonistów. Zostało to utrwalone w tej broszurce...

— Pozwoli Pan, że przeczytam ciekawostkę. W tym samym turnieju występowali, też z sukcesem, tylko w innych kategoriach, mieszkańcy woj. gorzowskiego: Robert Szablowski z Sulecina i Tadeusz Krawczyk z Bartlinka. Powracając do Pańskich synów: co Pan powie, jeśli za parę lat zechcą pójść do Julinka?

— Będę szczęśliwy.



Maciek i Tomek Jakubowscy w pogoni za Formelami.

zawodowa mi nie wystarcza. Muszę robić coś jeszcze. Prowadząc „Halastrę” doświadam marzenia, których nie udało mi się zrealizować. Nie dla pieniędzy to robię, choć i one są ważne.

— Chyba nie występujecie za darmo?

— Honorarium ustalamy z tym, kto nas zaprasza. Suma nie przekracza 6 tysięcy zł. Czasem od tego dojdzie zapewniony przez organizatorów środek lokomocji. Jeśli nie, to po odliczeniu kosztów przejazdu, starcza jeszcze na obiad dla dzieci, czasem na lody.

— Gdzie występujecie?

— Parę dni temu byliśmy w Legnicy, w dzielnicowym klubie „Atrium”. Wybieramy się do Złotoryi. Dawaliśmy występy w Czechosłowacji i NRD. Czasem gramy w sali, czasem na boisku szkolnym lub leśnej polanie. Często w woj. wrocławskim. Rzadko w Rzepinie.

— Czym popisują się mali artyści?

— Żonglerka, jazda na motocyklach, iluzja, ekwilibrystyka. Elementami sztuki chińskiej, jak wirujące talerzyki czy tańczące paterki. Niektóre numery są świetne. Dzieci bardzo się podobają. Mamy opracowane przedstawienie od początku do końca. Ja także biorę w nim udział, jako prowadzący.

— Nauczyciel i wychowawca robi hokus-pokus. U nas ludzie lubią być śmiesznie poważni. Pewnie słyszy Pan czasem jakieś docinki.

— Nie zwracam na nie uwagi. Cyrk, to prawdziwa sztuka. Podstawą jej jest zdolność logicznego myślenia, sprawność umysłu, spostrzegawczość, talent do odwracania uwagi widza. „Matematyczne” widzenie świata i ludzi. Nie mówię już o sprawności fizycznej. Nie każdy może się tego nauczyć.

— A Pan jak się nauczył?

— Najpierw podpatrywałem i ćwiczyłem. Z czasem poznałem paru wybitnych artystów cyrkowych, których przyjaźnią szczytuję się do dziś. Do nich należą p. Ryszard Li-U-Fa, Chińczyk mieszkający wraz z rodziną w Polsce. Jest to wspaniały klan cyrkowców. Tak że p. Zbigniew Stępek, spec od jazdy na wysokich rowerach, Czesław Pasz — iluzjonista międzynarodowej klasy i jeszcze inni. Oni sporo mnie nauczyli. Chciałem dostać się do Szkoły Cyrkowej w Julinku i studiować jako eksternista, ale jestem już po 40-ecie, a tam przyjmują maturzystów.

— Może pani przedstawi członków „Halastry”.

— Proszę bardzo. Kinga Hen z klasy

— Jakże oceny mają w podstawówce?

— Wszystkie dzieci z mojego cyrku uczą się dobrze lub bardzo dobrze. Tomek przoduje w każdej klasie. Jest bardzo zdolny we wszystkich dziedzinach. Wygrał kiedyś olimpiadę z języka polskiego.

— Co robi na arenie najmłodszy artysta „Halastry”, Pański trzyletni synek Marek?

— Szpagat, „fikolki”. Jest zabawny, publiczność się śmieje. Za dwa lata będzie już stał jako trzeci w piramidzie.

— Co w programie jest najtrudniejsze?

— Nie jest łatwe i do wszystkiego dzieci doszły wytrwale pracując. Muszę powiedzieć, że ćwiczą z wielkim zapałem. Najwyższą klasę, jak sądzę, ma w wykonaniu Tomek manipulacja zwaną w języku cyrkowym „Chicago”, polegająca na ukazywaniu się i znikaniu „Wleczek”.

— Skąd macie instrumenty, przyrządy, sprzęt i gdzie odbywacie próby?

— Kierownik Oddziału Transportu Leśnego w Rzepinie p. Przybył udostępnił nam salkę przy ul. Świerczewskiej. Sprzęt kupiłem za własne pieniądze — stoliki, drabiny, motocykle, wszystko, co potrzebne. W pewnym stopniu korzystamy z opieki Garnizonowego Klubu Wojskowego w Stubicach. Koszulki z napisem „Halastra” podarował nam bezinteresownie nie mający nic z cyrkiem wspólnego p. Janusz Spisz. I tak jakoś żyjemy. Przydałby się chętny i bogaty mecenas, nie ukrywam.

— Czego Pan teraz pragnie najbardziej?

— Aby pracować z dziećmi, ukończyć dwu i pół letnie Międzywojewódzkie Studium Instruktorskie w Książu. Myślę czasem, że moja pasja i — powiem nieskrętnie — umiejętności, nie są wykorzystane tak, jak powinny. Chciałbym kiedyś prowadzić np. świetlicę szkolną — w niej zajęcia pozalekcyjne, albo kierować klubem czy domem kultury. Mogłbym rozwinąć cyrk w Rzepinie, ale warunki są nie najlepsze, czas nie sprzyja i sam też niczego nie zdziałam. Chciałbym także — póki co, aby moi synowie Maciek z Tomaszem osiągnęli światowy sukces, należący obecnie do duetu Formelów: trzy naście pitelek w powietrzu. Obecnie są na etapie dziesięciu, czyli niedaleko. Może kiedyś osiągną sławę takich mistrzów, jak Arsene czy Seleno?...

Wkrótce zaplonie znicz olimpijski i na wspaniałych stadionach, boiskach, bleźniach, kortach, torach, w halach i pływalniach w dalekiej Korei Południowej rozpocznie się gigantyczny, międzynarodowy turniej. Rywalizacja ambicji, umiejętności i siły. Walka o złoto, srebro i sławę. Równocześnie na całym świecie miliony ludzi zasiądą przed telewizorami.

O tym się mówi

W środowiskach sportowych nie mówi się o niczym innym, tylko o olimpiadzie. Wiadomo kto pojedzie i z czym, choć nie wiadomo z czym wróci... Jednak emocje nie gasną. Czy zawsze przy kompletowaniu olimpijskiej ekipy okazuje się, że nie jadą ci, którzy jechać powinni? Dlaczego nie weszła do ekipy zielonogórzanka Julita Macur?

W sumie jednak poszczęściło się nam. Zielona Góra reprezentowana będzie aż przez pięciu sportowców. Słowo „aż” jest o tyle zasadne, że są województwa, jak np. Olsztyn, które nie będą miały nikogo w Seulu, lub inne, których ekipy są jedno lub dwuosobowe.

Nasi najbliżsi sąsiedzi w województwie gorzowskim już trzymają kciuki za swojego jedynaka. Jest nim znakomity kolarz Zenon Jaskuła, bohater wielu mistrzostw, wyścigów i rajdów oraz kolumny sportowej w codziennej prasie.

W latach 1979 i 1981 zdobywał medale w ogólnopolskich spartakiadach młodzieży i mistrzostwach Polski juniorów. W tym czasie, do ukończenia służby wojskowej, przebywał w Ośrodku Szkolenia Olimpijskiego w Bydgoszczy.

Aż dwanaście medali zdobył na mistrzostwach Polski seniorów! Dwa medale — złoty i srebrny otrzymał podczas mistrzostw świata w czwórkach kajakowych w 1986 roku w Montrealu i w rok później — w Duisburgu. Świetną lokatę uzyskał podczas mistrzostw świata w Mechelen w 1985 roku. Medale złoty i srebrny przywozi w ubiegłym roku z Uniwersjady w Zagrzebiu.

Junior z „Lumelu”

Juniorom jest jeszcze nasz olimpijczyk Arkadiusz Skrzypaszek z Klubu Sportowego „Lumel”. Karierę pięcioboisty rozpoczął od pływania; było to w miejscowości Brzeszcze, pod opieką trenerską Gintera Brychczego. Ma obecnie 20 lat.

DO SEULU PO MEDALE...?

Halina Ańska

Wicewojewoda zielonogórski Jan Zięta zwołał konferencję prasową, na której miejscowi menagerowie sportu przedstawił sylwetki pięciorga zielonogórskich olimpijczyków oraz odpowiedzieli dziennikarzom na parę pytań.

„Nadodrze” rzadko zajmuje się sportem, ale jesteśmy przekonani, że nasi Czytelnicy, podobnie zresztą jak my sami, interesują się tą dziedziną życia. Skoro zresztą tak, to wszyscy wiemy, kim jest Dorota Bidołach.

Strzela w dziesiątkę

Zawodniczka ta od 1973 roku uprawia strzelectwo, od początku do dziś pod okiem trenera Mieczysława Kubia (którego wychowanką jest również p. Macur).

W latach 1975-77 Dorota Bidołach była już czołową juniorką w kraju. Występowała wtedy pod panińskim nazwiskiem Stachowiak. Następne lata przyniosły jej dalsze postępy. W okresie od 1982 roku do chwili obecnej pięciokrotnie zdobywała mistrzostwa Polski seniorrek. Na mistrzostwach Europy zadebiutowała w 1985 roku, a w rok później na mistrzostwach świata.

Dużym sukcesem Doroty było ubiegłoroczne drużynowe mistrzostwo świata w strzelaniu z pistoletu pneumatycznego.

Ma 31 lat, jest mężatką i matką. Ukończyła Pomaturalne Studium Fizykoterapii. W Seulu wystąpi w dwóch konkurencjach strzelniczych.

Kajakiem do sławy

Trzymając się alfabetu, teraz parę słów o następnym naszym olimpijczyku — Macieju Czyżowiczu. Ma lat 26 i tytuł wicemistrza Polski.

Kontakt ze sportem rozpoczął w Szczecinie od pływania, kolejno w klubach „Pogon” i „Stal-Stocznia”. Jako junior cztery razy zostawał medalistą podczas ogólnopolskich spartakiad młodzieży oraz zawodach o mistrzostwo Polski w pływaniu.

Szkolenie w pięcioboju rozpoczął w 1978 roku w Drzonkowie. Od 1982 roku notują się jego sukcesy: Najpierw brązowy medal w mistrzostwach Polski juniorów, potem mistrzostwo kraju. W 1983 roku wspólnie z partnerem Piotrem Maciaszczykiem i Pawłem Olszewskim zdobył srebrny medal na mistrzostwach świata juniorów w Coto de Caza, w USA, plasując się indywidualnie na siódmym miejscu.

Trzy razy uczestniczył w mistrzostwach świata seniorów — w r. 1983, 86 i 87. Najbardziej mu się poszczęściło w roku 1986 w Montecatini we Włoszech, gdzie zajął czwarte miejsce zespołowo i osme indywidualnie.

Występuje w barwach Klubu Sportowego „Lumel”.

Kolekcjoner medali

Mieszkańcy Nowej Sól bacznie będą śledzić na ekranach telewizorów olimpijskie zawody kajakarzy. Będzie bowiem wśród nich Grzegorz Krawców z Klubu Sportowego „Dozamet”.

Wystartuje w czwórce kajakowej na tysiąc metrów, wraz z partnerami: Robertem Chwałkowskim z „Gwardii” Opole, Wojciechem Kurpiewskim z klubu „Swit” w Nowym Dworze Mazowieckim i Kazimierzem Krzyżanowskim z klubu „Wiskord” w Szczecinie.

Nasz zawodnik jest studentem kierunku trenerskiego Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu. Urodził się w 1962 roku. Karierę sportową rozpoczął jako czternastoletni chłopiec, pod okiem trenera Stanisława Dąbrowskiego.

W latach 1982-1985 Arkadiusz uczył się i trenował w Raciborzu, w tamtejszej Szkole Mistrzostwa Sportowego. Startował w tym okresie na ogólnopolskich spartakiadach młodzieży i mistrzostwach Polski juniorów, pływając w stylu klasycznym i dowolnym. Pięć razy został medalistą.

Przed trzema laty — w kwietniu 1985 roku związał się z Ośrodkiem w Drzonkowie. Już po trzech miesiącach otrzymał złoty medal w trójbój nowo czesnym podczas Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży — 1985. W rok później na Zawodach Przyjaźni wywalczył w kategoriach pięcioboju srebrny medal drużynowo.

W 1987 roku kwalifikowany był na trzeciej pozycji wśród polskich juniorów. Po ubiegłorocznych mistrzostwach świata rozegranych w Seulu został drugim juniorem na świecie.

Kasia z Wolsztyna

Od kobiety rozpoczęłam prezentację na kobiecie — zakończę: Katarzyna Weiss, młodzieżka kajakarka, ma dopiero 18 lat.

Nie tylko Nowa Sól z zapartym tchem wypatrywać będzie na ekranie kajakarzy. Taką samą gorącą atmosferą panuje już w Wolsztynie. Stąd bowiem Kasia pochodzi i tu po raz pierwszy zetknęła się z wodą i sportem wodnym. W pierwszym okresie jej rozwoju zajmowała się para trenerska Ewa i Tomasz Glowacy.

Od jesieni 1985 roku Katarzyna przebywała w Ośrodku Szkolenia Olimpijskiego w Wałcu, w województwie pilskim. Tam chodzi do szkoły — jest uczennicą liceum ogólnokształcącego. Jednakże pozostała wierna swemu Międzykolemu Klubowi Sportowemu „Iskra” w Wolsztynie — i klub ten reprezentuje w polskiej ekipie wytypowanej do Seulu.

Jest zdobywczynią czterech medali na ogólnopolskich spartakiadach młodzieży w latach 1986 i 1987. Podczas mistrzostw Europy w ubiegłym roku, wspólnie z partnerką Elżbietą Urbańczyk, zajęła piąte miejsce w zawodach dwójek kajakowych na pięćset metrach.

W Seulu Katarzyna Weiss wystartuje w czwórce kajakowej na pół kilometra, wraz z koleżankami: Jolantą Łukasiewicz z klubu „Orzeł” w Wałcu, Bożeną Książek z klubu „Vegoria” w Węgorzewie i wspomnianą wyżej Elżbietą Urbańczyk z klubu „Swit” w Nowym Dworze Mazowieckim (tego samego klubu, z którego wywodzi się jeden z partnerów Grzegorza Krawcowa).

Trochę historii

Województwo zielonogórskie zaprezentuje się na olimpiadzie po raz piąty. Debiut miał miejsce w 1964 roku w Tokio. Startowało wówczas troje naszych sportowców: Edward Czernik — który skoczył 206 cm i uzyskał dziewiąte miejsce, Marian Filipiuk — który w sztafecie znalazł się na miejscu szóstym i Stanisław Marucha — który był szesnastym w strzelaniu. (Brak miejsca nie pozwala nam na przypomnienie szczegółów).

Również trójkę zawodników mieliśmy w 1972 roku w Monachium. Bożena Ziętarska odpadła wówczas w eliminacjach do biegu indywidualnego, a sztafeta, w której uczestniczyła, została dyskwalifikowana za zgubienie pałeczki. Grzegorz Cybulski w finale skoków zajął dwunaste miejsce. Zbigniew Fedczak w strzelaniu w dwóch konkurencjach był czternasty i dwudziesty trzeci.

Montreal w 1976 roku też minął bez nadzwyczajnych rewelacji. Stanisław Marucha w strzelaniu był trzydziesty

siódmy, a Henryk Galon wystąpił jako rezerwowy w sztafecie, która znalazła się na drugim miejscu.

Do Moskwy w 1980 roku pojechała ekipa pięciobojsowa, wśród której najlepiej wypadł Krzysztof Stefaniak; uzyskał w strzelaniu czwarte miejsce i był o krok od srebrnego medalu. (Ciekawe, że ten zawodnik włączony został do składu olimpijskiego w ostatniej chwili, do piero po interwencjach dziennikarskich!) Grażyna Olszewska w sztafecie uzyskała czwarte miejsce (takie samo, jak w Tokio miał jej trener Marian Filipiuk), ale indywidualnie dobiegła tylko do półfinału. Nie poszczęściło się również mistrzowi świata Zdzisławowi Hoffmanowi, który w Moskwie starował z kontuzją i uzyskał słaby wynik. Andrzej Macur w strzelaniu był czternasty. Jeździec Stanisław Jasiński nie ukończył konkurencji.

Większa grupa zawodników przewidziana była do igrzysk w Los Angeles w 1984 roku, ale jak pamiętamy, do wyjazdu nie doszło.

Będą inne okazje

Do udziału w tegorocznej olimpiadzie przygotowywało się ponad dwadzieścia osób z województwa zielonogórskiego.

W ostatecznej rywalizacji wzięło udział dziesięcioro — w tej grupie strzelcy Ireneusz Jagodziński oraz Julita i Andrzej Macurowie, pięcioboista Dariusz Goździak i kolarz Zbigniew Spruch.

Polski Komitet Olimpijski zatwierdził zakwalifikowanych przez związki sportowe pięć osób: Dorota Bidołach, Maciej Czyżowicz, Grzegorz Krawców, Arkadiusz Skrzypaszek i Katarzyna Weiss. Awans tej ostatniej jest dowodem dobrej pracy małego, skromnego klubu i sukcesem trenerów tej zawodniczki.

Trener Kubiak, znany i długoletni wychowawca będzie towarzyszył naszej ekipie w Seulu. Powiedział on o sportowcach, którzy odpadli w ostatniej kwalifikacji, że mają wszelkie dane, by czuć się olimpijczykami. Dotyczy to zwłaszcza ambitnej i utalentowanej Julity Macur.

„Strzelectwo, jak może zadna z dziedzin sportu, jest w ogromnym stopniu dyscypliną psychiczną” powiedział — „i tylko nieliczni wytrzymują to nie słychane obciążenie. W sporcie w ogóle, a w strzelectwie szczególnie możliwe są zaskakujące niespodzianki. Dziś ktoś nie przystąpi, a za kilka dni może być pierwszy”.

Macurowie, Jagodziński, Goździak i Spruch jeszcze się pokażą i udowodnią, kim są. Będą do tego okazji.

Dlaczego Seul?

Pisząc o tym inni, więc tylko króciutko. Korea Południowa uchodzi teraz za jeden z najszybciej rozwijających się krajów świata. Jest pierwsza na świecie w budowie statków, druga w produkcji tekstyliów, szósta w produkcji żelaza.

Małe, oszczędne samochody „hyundai” coraz częściej spotykane na szosach amerykańskich, pochodzą właśnie stąd; Koreańczycy sprzedają ich około trzystu tysięcy rocznie. Pchają się również na rynki ze swym „pontiakiem” na licencji „opla”.

Są pierwsi we współpracy z Japonią w wytwarzaniu urządzeń do elektroniki; eksport ich w tej dziedzinie sięga rocznie 35 miliardów dolarów.

Ten niewielki kraj przeżywa prawdziwy cud gospodarczy. Ale też nikt się tam nie obja. Każdy pracownik fabryki czy urzędu pracuje obowiązkowo 54 godziny w tygodniu, plus jeszcze, osobno wynagradzany czas dodatkowy.

Korea Południowa otwarta jest na współpracę ze wszystkimi krajami, nie tylko kapitalistycznymi — choć głównie zabiega o kontrahentów japońskich i amerykańskich. Już w tej chwili handluje z Węgrami, pertraktuje z Chinami i wyraża chęć umów z Polską i NRD.

Wzorem Japonii, która na olimpiadzie zrobiła przed laty karierę swymi wyrobami „sony”, „sanyo”, „seiko”, „ya maha”, „toyota” i „panasonic”, Korea Południowa przeżyła się do wielkiego skoku na rynku świata. Liczy, że te trzy miliardy dolarów zainwestowane w olimpiadę, sownie się opłacą.

Nie jedźcie psów!

Trener Kubiak, który był w Seulu przed rokiem, opowiada o nieoywianym rozmachu. Jest tam wybudowana min. hala do judo na dziesięć tysięcy miejsc, korty dla piętnastu tysięcy widzów, stadion z krytymi trybunami dla siedemdziesięciu tysięcy, i tak dalej.

Wszystko to zobaczą na żywo nasi sportowcy. Zyczymy im jak najlepszej kondycji fizycznej i psychicznej. Oby służył im klimat i oby nie struli się koreańską kuchnią (podobno im to nie grozi, na szczęście). No właśnie, szczęście! Tego im życzyć trzeba przede wszystkim!

HALINA AŃSKA

— Krzyczałaś — odezwał się z uśmiechem jakiś czas potem.

— Myślałam, że umieram — powiedziałam głośno, jakby do siebie, szyję, ramiona i twarde kolana.

— Jesteś szaloną kobietą — rzekł. Zapalił papierosa i zaczął żuć drewnianą fiolkę, tak jak to miał w zwyczaju. Nie odchodził, chociaż bałam się, że zrobi to łańcuchem. Czesząc drzącą ręką włosy miałam wrażenie, że zasypują mnie zwały ziemi. Doszedł przy tym do wniosku, że dla tej krótkiej chwili przeżytej z tym człowiekiem warto było żyć. Wiedziałam, że go pragnę, wszystko jedno za jaką cenę. Nie myślałam jednak wcale o nim ani o tym, czy przyniosę mu szczęście, czy nieszczęście. Nie zastanawiałam się nad tym, że mogę go przecież zniszczyć i zgubić, jak tlen, który zżera żelazo. Nie, nie takiego nie zaprzętało moich myśli. Klekając przed nim, głaskałam jego kolana i obudziła się we mnie chęć dowiedzenia się o nim jak najwięcej, kim był, jak żył, wszystkie szczegóły nabierały wielkiego znaczenia, starałam się nie uronić ani jednego słowa, które wypowiedział. Nie wytydziłam się swych pragnień i wtedy jeszcze nie przychodziło mi nawet do myśli, że mogę mu się znudzić, jeśli tak otwarcie i szczerze przyznam się, jaką ma nade mną władzę. Nie myślałam o niczym innym, tylko o nim.

To był właśnie Torsti. Miał ponad trzydzieści lat i dobrą pracę, był metalowcem w fabryce. Trzy lata po ślubie, bezdzietny.

— Nie mam prawa powoływać dzieci na taki świat — powiedział.

Mówił też o polityce, jak to zwykle mężczyźni.

— Świat musi się zmienić. Wszystko, co się teraz dzieje, cofa tylko rozwój.

Ale mnie nie obchodził wcale świat ani żaden rozwój. Wpatrywałam się tylko w niego, w te błyszczące, jasnoniebieskie oczy, które od czasu do czasu, gdy mówił, spływały iskrami.

— Teraz ty — poprosił.

— Opowiem innym razem — odparłam szybko.

— Tak, innym razem — powtórzyłam i zaczęłam go pieścić tak czule, jak tylko umiałam, nie czując żadnych hamulców. Nie wytydziłam się tego, że z takim oddaniem i szczerością go pokochałam.

— Może tego następnego razu już nie będzie — rzekł, ale nagle zamilkł i znów przyciągnął mnie do siebie. Czulałam, że z hukiem walą się na mnie masy ziemi i samą siebie chowam w ciemnościach kłając w jego objęcia. W tym momencie uwierzyłam, że to wszystko jest prawdą, a nie snem i że nigdy zapewne nie okazywałabym mu tyle czułości, gdybym czuła nad nim władzę.

Podczas któregoś z naszych późniejszych spotkań zapewniałam go, że w każdej chwili mogę dostać od męża rozwód. Tak było w istocie, bo wiedziałam o nim zbyt wiele, by miał odwagę mi się sprzeciwić. Torsti drgnął, gdy to usłyszał, takie rozwiązanie pewnie wcale nie przyszło mu do głowy. Chciał, jak to zwykle bywa, dla zabicia czasu pofirtować ze mną, a potem po prostu wycofać się z całej sprawy, jak gdyby nigdy nic. Mężczyzna ma krótszą pamięć niż kobieta, a do tego nie szanuje partnerki, która go naprawdę pragnie.

W ten sposób jednak już na początku naszej znajomości udało mi się zasiać w jego głowie myśl o rozwodzie. Może się nawet przestraszył i zamierzał zawrócić z drogi, ale nie był w stanie bo moje ciało zdążyło mu zatruć myśli. Wiedziałam, że co wieczór myśli o mnie, a zasmakowawszy w kontaktach ze mną, nie czuł się już z żoną dobrze. Spotykaliśmy się więc nadal, chociaż z powodu jego żony nie mogliśmy robić tego zbyt często.

Wypytywałam go o żonę i powiedział mi o niej, jak to zwykle mężczyźni, wszystko, nie zatając nawet spraw, których z zasady nie ujawnia się osobom postronnym. Coraz bardziej pobudzał moją ciekawość, chociaż gdy mówił o niej, czulałam, jakby ktoś obracał mi nóż w otwartej ranie. Uważałam za przekleństwo fakt, że Torsti nie był już wolny. Zawsze miałam takie głupie szczęście.

Wydało mi się, że Torsti był bardzo mądry. Sporo czytał i znał się na swym fachu. Nie umiał jednak okazywać swych uczuć i brakowało mu wyobraźni. Był zamknięty w sobie i milczący, każde słowo wyciągałam z niego jak obcęgami. Ja zaś, chociaż wyobrażałam sobie zawsze, że jestem twarzą jak diament, czulałam w sobie ogromne pokłady czułości, przeraziło mnie to nawet. Torsti wcale nie był wyjątkowym człowiekiem, ale los widocznie przeznaczył go tylko dla mnie i sprawił, że stał mi się szczególnie bliski. Ciągłe pamiętałam swój lek i głośno bijące serce, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy stojącego pod latarnią z rękami w kieszeniach, żującego drewnianą fiolkę.

Tak to się przez jakiś czas ciągnęło, spotykaliśmy się w tajemnicy pilnując, by się z niczym nie zdradzić, szczególnie przed jego żoną, bo on często zostawał w pracy odrabiając nadgodziny i gdy się ze mną spotykał, też mówił, że pracuje. Ale chwile spędzane razem były zbyt krótkie i to kradzione spędzanie zatruwało mi życie. Ciągłe się bałam, że go stracę, że w końcu nadejdzie dzień, kiedy on nie zechce mnie już widzieć. Ten okres wydawał mi się piekłem, choć jednocześnie czulałam się wtedy pewnie szczęśliwsza niż kiedykolwiek w swym życiu.

Pewnego dnia idąc w samo południe po Esplanadi ujrzałam nagle twarz człowieka, który był pierwszym mężczyzną w moim życiu. Tego właśnie, który upił mnie w norze portiera i o którym nie zeznałam podczas przesłuchań. Poznałam go od razu. Wyseledził z hotelu, wyniósł, syty i elegancki, włosy pościwały mu na skroniach, spojrzenie miało nieufne. Poszłam w ślad za nim, a gdy zniknął w środku dużego biurowca, od zatrudnionego tam windziarza wyciągnęłam jego nazwisko i nazwę firmy, którą kierował. W ten sposób po tylu latach miałam go wrzeszcząc w rękę.

Nie poszłam jednak do niego od razu. Najpierw przez kilka dni przeglądałam różne ogłoszenia w gazetach i chodziłam po mieście oglądając sklepy. Dopiero, gdy ułożyłam sobie pewien plan, poszłam do tego biura i w sekretariacie poleciłam, by zameldować mnie u samego dyrektora. Wymieniałam swoje nazwisko i powiedziałam, że mam do niego sprawę osobistą. Z moich personaliów niczego się nie mógł domyślić, bo używałam nazwiska męża, tego takśówkarza.

Sekretarka wróciła i oznajmiła, że pan dyrektor mnie nie zna i nie zdążył mnie przyjąć.

— Ależ dyrektor mnie z pewnością pozna, gdy mu się tylko pokażę — rzekłam i czekałam dalej.

Kazał mi długo czekać, ale w końcu wpuszczał mnie do środka. Weszłam do jego wspaniałego gabinetu i zamknęłam za sobą drzwi. Wstał od biurka i patrzył na mnie zdziwiony.

— Nie poznaje mnie pan? — spytałam i uśmiechnęłam się uprzejmie.

— Nie, nie znam pani — odparł, ale wpatrywał się we mnie i stopniowo jego wyplegnowana twarz zbroiła się szarobłada. Nerwowo mietosił krawaty, a jego błakające się spojrzenie starało się unikać mego wzroku. Nie chciałam mu pomóc, patrzyłam tylko na niego uśmiechając się, aż w końcu spytał:

— Czego pani chce ode mnie?

— Dobre pytanie — odparłam. — Jestem tutaj, chociaż nie mam już czterdziestu lat. Na przesłuchaniu nie powiedziałam nic, potem też nikomu o panu nie mówiłam, mogę więc chyba oczekiwać jakiegoś zadośćuczynienia.

To szantaż — wybełkotał i usiadł za biurkiem. Na policzki wróciły dawne rumieńce, a z nimi spokój, odważył się znowu na mnie spojrzeć. Podeszłam bliżej, usiadłam przed nim na brzegu biurka i odezwałam się z uśmiechem:

— Wcale nie mam zamiaru pana szantażować ani nie życzę panu nic złego. Wiedziałam pan wtedy, że jestem jeszcze niewinnym dzieckiem, ale zmarnowałam mi pan życie. Mam teraz okazję zacząć wszystko od nowa, jeśli tylko mi pan po-

ZŁOTOWŁOSA

Mika Waltari



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

może. Nie znam nikogo, kogo mogłabym o to prosić, więc przyszedłam do pana.

— Skąd mogłem, do cholery, wiedzieć, że byłaś nieknięta? — syknął.

— Dobre pan o tym wiedział — odparłam i roześmiałam mu się w twarz. — To właśnie pan najbardziej bawił.

— Ile? — rzucił krótko stając się znowu człowiekiem interesu.

— Chcę kupić kwaciarnię, żeby zacząć uczyć życie — zaczęłam. — To jedyna praca, na której się trochę znam, i z czasem na pewno dobrze mi to pójdzie. Powiem panu szczerze, ile potrzebuję. Nie ma sensu się targować. Proszę tylko powiedzieć, czy pan da, czy nie?

— Ile? — spytał znowu.

— Nie jestem wymagająca — odparłam. — Kwaciarnia jest mała i kosztuje zaledwie trzydzieści tysięcy marek. Poza tym potrzebuję dziesięć tysięcy na rozkręcenie interesu. Myślę, że to niewiele jak za życie jednego człowieka?

Zaczął coś mówić, targować się, ale spojrzałam na niego zrozumiawszy, że mówię poważnie. Zamyslił się, potem mrucząc coś do siebie wyjął książeczkę czekową, zapytał mnie o nazwisko i wypisał czek.

— Wolalabym pieniądze w gotówce — powiedziałam.

— Dobre — zgodził się, był już w dobrym nastroju, zadzwonił i wysłał gońców z czekiem do banku. Potem podszedł do maszyny i spisał umowę, w której potwierdzam odbiór pieniędzy, rezygnuję ze wszystkich żądań i przysięgam, że nie podam do publicznej wiadomości szczegółów tego, co zaszło między nami. Wiedziałam dobrze i ja także, że ten papier nie miał żadnego znaczenia, ale był człowiekiem interesu i może uspokajało go to, że tracąc tyle pieniędzy otrzymał coś w zamian.

Gdy dziewczyna przyniosła pieniądze, dał mi je, a ja podpisałam się pod umową. Nie rozmawiałam już o niczym, ale gdy wychodziłam, wyciągnął do mnie rękę; z przyjemnością uściśnięłam tę miękką, ciepłą dłoń. W ten sposób pozbył się wyrzutów sumienia z mojego powodu.

Prosto od niego poszłam kupić kwaciarnię. Należało do niej pokój na zapleczu, w którym mogłam na razie mieszkać, chociaż wyglądał na niezdrowy, był wilgotny i zimny. Poprzedni właściciel zatrudniał u siebie pomocnicę, która potrafiła samodzielnie prowadzić interes i wiedziała, jak sprowadzać i pielęgnować kwiaty. Zatrzymałam ją obiecując płacić więcej, niż dostawała poprzednio.

Sceny miłosne w literaturze pięknej

Wróciwszy do domu zadzwoniłam do firmy do przeprowadzek i poprosiłam o przewiezienie moich rzeczy. Nie miałam nic prócz łóżka z materacem, toaletki i dwóch krzeseł, ale na początek to mi wystarczyło. Pakowałam ubrania do walizki, gdy rozległ się dzwonek. W drzwiach stał jakiś nieznajomy marynarz ledwie trzymając się na nogach.

— Proszę mi, na miłość Boską, dać trochę wódki, bo inaczej umrę! — wybełkotał.

Twarz miał opuchniętą od alkoholu, a ręce mu się trzęsły. Nie nosił płaszcza, chociaż była już późna jesień. Pewnie dawniej kupował wódkę od mego męża albo dostał nasz adres w pobliskiej knajpie.

— Ma pan pieniądze? — pytałam trzymając go ciągle na progu.

— Nie, ale posiadam dobry pistolet — wyjął. — Daję go pani w zastaw, a jutro przyjdę wykupić. Przywiozłem go z zagranicy.

powiem o tym nikomu. Powiedziałam więc, że przez całe lata oszczędzałam w tajemnicy przed mężem, żeby móc się kiedyś od niego uwolnić.

Kupiłam wino i koniak, chciałam pokazać, jak dużo mam pieniędzy. Namówiłam Torstiego, by się ze mną napił i kusiłam wszystkim, czym mogłam, aż został u mnie na noc i spaliliśmy razem. Po raz pierwszy spałam z głową na jego ramieniu. Po alkoholu zasnęłam twardym snem i nie wiedział, że przez całą noc bez przerwy całowałam jego usta, twarz i obnażoną pierś. Byłam tak szczęśliwa, że została u mnie i mogłam leżeć opierając głowę na jego ramieniu. Gdy się rano obudził, przestraszony wykrzyknął:

— O Boże! Co ja powiem żonie? Nigdy jeszcze nie spędziłem nocy poza domem!

Siedział na brzegu łóżka przeczesując palcami zmierzwiłone włosy. Miał opuchnięte oczy. Uklękałam przed nim, objęłam jego nogi i rzekłam:

— Torsti, powiedz wszystko swojej żonie. Musi dać ci rozwód. Postaramy się o porządne mieszkanie i będziemy żyć zawsze razem!

— Do diabła z wami, baby! W co ty mnie wpakowałaś?

— Torsti, życie bez ciebie nie ma dla mnie żadnego sensu — wyszeptalam obejmując jego kolana.

Żona jednak nie chciała mu dać rozwodu, urządziła za to karczmą awanturę, nazwała mnie kurwą i wrzeszczała, że Torsti źle skończył przeze mnie. Z tego powodu powodu nie zgodziła się na rozwód, ale zatrzymywała go wszelkimi sposobami, każąc mu na dodatek przysięgać, że już nigdy do mnie nie pójdzie. Tak że znowu musieliśmy się tajemniczo spotykać.

Często rozmawialiśmy, snuliśmy plany, zastanawialiśmy się, co robić dalej. Torsti proponował, że zabierze swoje rzeczy i sprowadzi się do mnie, ale nie wróżyło to nic dobrego, bo żona pewnie by ciągle do nas przychodziła i zatrzymała nam życie. Torsti miałby tego po dziurki w nosie i pewnie wróciłby do niej. Myśleliśmy też o tym, by się przenieść do innego miasta albo wyjechać do Kanady, ale Torsti miał tu dobrą pracę, a ja kwaciarnię i ciężko by nam było zacząć wszystko od początku na obcej ziemi.

Myślę, że jego żona dobrze wiedziała o naszych tajemnych spotkaniach, bo taka kobieta, gdy raz się w niej zbudzi nieufność, nie przestaje snuć podejrzeń. Znosiła to jednak bez protestów, domyślając się, jak mocno Torsti był ze mną związany. I w tym wypadku miała, niestety, rację, bo Torsti, choć podobny do innych mężczyzn, całkowicie się ode mnie różnił, nie zalewała go taka dzika ciemność wciśnięta się wszędzie. Czulałam, że w końcu nadejdzie chwila, kiedy mu się znudzę. Będzie miał dosyć tych kłamstw i schadzek w różnych miejscach. Wtedy powróci do żony z mocnym postanowieniem, że ze mną koniec. Przeczuwałam, że to już niedługo nastąpi. Musiałam wymyślić coś takiego, co związałoby go ze mną na zawsze.

Namiętność mężczyzny, nawet najgorętsza, zwykle na początku wybuchła, by z czasem przycisnąć, bez względu na to, jak poważnie układałyby się jego stosunki z wybraną kobietą. Niezależnie od tego, jak wielkie uczucie go opanowało, zawsze nadchodził moment, kiedy rozczarowany się dookoła widzi jedynie ruiny i zgłiszczoną, nie zdającą sobie dokładnie sprawy, jak doszło do takiej sytuacji. Mężczyzna prędzej czy później ma wszystkiego dosyć. Dlatego kobieta, chcąc go zatrzymać, musi go ze sobą związać albo omdać domem, nawykami, tak by wpadł w sieć przekonany, że wszystkie próby jej rozerwania skończą się niepowodzeniem, chociaż zwykle jest to tylko złudne wrażenie.

Żona Torstiego pewnie o tym nie wiedziała i rozmawiała inaczej, ale postępowała zgodnie ze swym instynktem i sprytem. Chciała też uniknąć wstydu i drwin, na które by się naraziła ze strony swej rodziny i znajomych, gdyby ją mąż porzucił. Nie postępowała jednak konsekwentnie i co pewien czas robiła Torstiemu awantury. Próbowала wzbudzić w nim zazdrość, zaczęła chodzić na tańce wracając późno i dając tym mężowi do zrozumienia, że i ona ma wielbicieli. Ale na Torstima nie robiło to żadnego wrażenia, stawała mu się coraz bardziej obojętna. Mimo to udawała, że między nimi wszystko jest w najlepszym porządku. Raczej by umarła, niż dopuściła do tego, by sąsiedzi domyślili się, że Torsti ma kochankę.

Torsti opowiadał mi o tym. Och, jak nienawidziłam tej kobiety. Była niska, ciemnowłosa i korpulentna, po jednej stronie twarzy na zacier wienionym policzku miała brodawkę, z której wyrastały czarne włoski. Zobaczyłam ją pewnej niedzieli w parku. Już wcześniej bardzo chciałam ją poznać, ale ona nie miała na to ochoty. Bała się, dobrze wiedząc, że wymiana zdań z kobietą taką, jak ja, musiałaby się skończyć jej porażką.

Ujrzałam ją, gdy szła uwieszona na ramieniu Torstiego i swymi okragłymi oczami o głupim wyrazie patrzyła rozanielona w górę, na niego. W tym momencie zaczęłam jej jeszcze bardziej nienawidzić niż przedtem. Oboje znali się od dziecka i w końcu się pobrali, chociaż Torsti miał też inne dziewczyny, z którymi się przyjaźnił. Miał w sobie coś, co przyciągało kobiety. Nie wyglądał zbyt ciekawie, ale nie musiał nawet nic mówić, bo w jego oczach i zaciętych ustach tkwiło coś, co zwracało uwagę kobiet. Gdy siedzieliśmy razem w restauracji, kobiety odwracały głowy, by mu się przyjrzeć, byłam wtedy o niego bardzo zazdrosna.

Chciałam go więc związać z sobą tak, by nie mógł mnie porzucić, chociaż w duchu trapiłam się tym, że gdyby nawet dostał rozwód i wzięlibyśmy ślub, długo bym go pewnie nie zatrzymała, bo mężczyzna, który się raz rozwiedzie i przekona, jak to łatwo poszło, następnym razem nie będzie się długo nad tym zastanawiał. A kobiety, która była przyczyną jego rozwodu z pierwszą żoną, nie należy zbyt obwiniać, bo przyczyną tkwi zazwyczaj w nim samym.

(CDN)

(Fragmenty prozy Mika Waltaria w przekładzie Joanny Trzcińskiej — Więcej przytaczamy za miesięcznikiem „Literatura na świecie” nr 2 z br.)



Scena ze sztuki „Złote oczy masyści”: Ordynator — Zbigniew Moskal, Kobieta z siekierą — Bożena Pomykala i On — Wojciech Deneka.

Fot. JERZY SZALBIERZ



NOWY SEZON GORZOWSKIEJ SCENY

W minionym sezonie teatralnym na scenie gorzowskiego Teatru im. Osterwy wystawiono osiem sztuk: „Pulałek” T. Różewicza, „Taniec Lazarza” J. Radczkowskiego, „Ciekie czasy” M. Baluckiego, „Złote oczy masyści” L. Szopy. Największym powodzeniem cieszyła się bajka „Złote oczy masyści” L. Szopy. Największym powodzeniem cieszyła się bajka „Złote oczy masyści” L. Szopy. Największym powodzeniem cieszyła się bajka „Złote oczy masyści” L. Szopy.

Ponadto warto przypomnieć, iż gorzowską realizację — reżyser Antoni Baniukiewicz oraz scenografię Ewa i Wiesław Strebekowie — gościnnie w Teatrze im. Kleista we Frankfurcie nad Odrą wystawili sztukę Ireneusza Iredyńskiego „Złoty Judasz”. Ważnym wydarzeniem minionego sezonu były tradycyjne Spotkania Teatralne, w których uczestniczyło pięć teatrów, prezentując dwadzieścia przedstawień. Obejrzało je 6,5 tys. widzów. Ogólny koszt tej imprezy wyniósł 7 mln zł, wpływy ze sprzedaży biletów zamknęły się kwotą 1,5 mln zł. Sądząc jednak, że poniesione wydatki były społecznie uzasadnione ze względu na tę imprezę.

A co zobaczymy na gorzowskiej scenie w bieżącym sezonie?

Według zamierzeń repertuarowych zostanie m.in. wystawiona węgierska współczesna sztuka obywatelska Istvána Csukasa pt. „Gorzkie żale w dozorówce” w reżyserii Janusza Kozłowskiego, który w Gorzowie reżyserował już „Pulałek” Różewicza. Jest to satyryczny obraz społeczeństwa uwikłanego w sprzeczności między wspomnieniami wielkiej tradycji i marzeniami o przyszłości a codzienną smutną rzeczywistością. Następnie bę-

dzie można obejrzeć znaną sztukę Sławomira Mrożka pt. „Indyk” w reżyserii Antoniego Baniukiewicza, który połączył tę sztukę z jednoaktówką tegoż autora, zatytułowaną „Zabawa”. Kolejną pozycją będą „Trojanki” Jean Paul Sartre’a — antyczny dramat według Eurypidesa, opracowany w konwencji współczesnej. Obejrzymy także XIX-wieczny dramat niemieckiego Georga Büchnera pt. „Woyzeck” — wielkie dzieło teatralne, rzadkie grane na naszych scenach.

Niestety, nie zamierza się w tym sezonie wystawić typowej bajki dla najmłodszych. Będzie za to — jak zapewnił dyrektor Baniukiewicz — bardziej współczesna forma zabawy, adresowana do starszych dzieci. Mowa tu o cieszącej się wielkim powodzeniem na scenach francuskich „Machinie teatralnej” Maurice’a Yendta — sztuce uruchamiającej wyobraźnię i spostrzegawczość widzów.

W każdym sezonie planuje się kilka pozycji rezerwowych. Niektóre z nich wejdą zapewne do podstawowego repertuaru. Tak może być ze sztuką Samuela Becketta „Czekając na Godota”. Realizacja powinna doczekać się nowa sztuka Zdzisława Marawskiego, zatytułowana „Odwiedźmy we Freiburgu”, traktująca o problemach najnowszej polskiej emigracji na Zachodzie. W puli rezerwowej jest również utwór psychologiczny, napisany w konwencji kryminału — „Mały Manchester” Frederica Darda.

Bieżący sezon rozpoczął spektaklami: „Złote oczy masyści” Szopy oraz „Powrót posła” Juliana Ursyna Niemcewicza, w reżyserii Antoniego Baniukiewicza. Niestety, ta ostatnia sztuka moim zdaniem nie stanowi wydarzenia artystycznego.

Wszystkie przedstawienia są i będą wystawiane na dużej scenie, gdyż tzw. mała ze względu na zagrożenie pożarowe, została wyłączona z eksploatacji. Zespoły aktorskie składa się z 24 osób, ośmiu aktorów odeszło do innych teatrów. Natomiast po przerwie powróciło do Gorzowa małżeństwo aktorskie — Teresa Lisowska i Stanisław Galecki. Czy przy tych trudnościach oraz zmniejszonym zespole aktorskim Teatr zdoła zrealizować ambitne plany repertuarowe? Czy uda się powtórzyć stosunkowo dobre wyniki ekonomiczne ubiegłych sezonów — dopłata do jednego miejsca jest tu najniższa w kraju i wynosi w br. 1.200 zł — oto pytanie, na które dziś nie ma odpowiedzi.

Póki co, życie teatralne Gorzowa nabrało rozmachu. Towarzystwo Kultury Teatralnej kontynuuje spotkania z aktorami w cyklu „W trzy tygodnie po premierze”. Są dyskusje, są okazje do przekazywania opinii i wrażeń ludziom teatru. Rozwija się pożyteczny dialog.

ANNA MAKOWSKA-CIELEN



RADOŚĆ TWORZENIA

Dla twórców, dla interesujących się tworzeniem sztuki, lektura „Dziennika lirycznego” Romany Kaszycy może być fascynująca. Autorka wypowiada się w kilku dziedzinach twórczości. Czytelniczki „Nadodrze”, „Ziemi Gorzowskiej” i innych pism podziwiają jej subtelne, liryczne, niezwykle oszczędne w środkach wyrazu rysunki. Jej ceramika, a to bardzo trudny także technicznie gatunek plastyki, zdobyła sobie duży rozgłos. Pisze ona także wiersze, teksty kabaretowe.

„Dziennik liryczny”, który dzięki Gorzowskiemu Towarzystwu Kultury trafił niedawno do rąk czytelników, dowodzi, że Romana Kaszycy posiada talent narracyjny. Bohaterami tej pięknej prozy są przede wszystkim dzieci z Barlinka, które pod jej okiem i ręką lepią z gliny figurki-bzdurki, zwane ciaramajdami. A „ciaramajda powinna mieć przy najmniej jedną głowę, przynajmniej dwie nogi i powinna chcieć, żeby się do niej uśmiechać”. Taką jest ta śmieszna definicja zabawnych stworów, które zamieszkuje w wyobraźni dzieci a później pod ich palcami materializując się przyoblekają w najrozmaitsze kształty. W tych cudownych chwilach tworzenia

uczestniczy Romana Kaszycy, i jako artystka „zatrudniona na pełnym etacie jako specjalistka do spraw plastyki w Zakładzie Urzędzie Okrętowych „Bomet” w Barlinku”, i jako wrażliwy, mądry pedagog, (to już moja ocena), która wie, że każde dziecko, a na jej zajęciach przychodzi czasem siedemdziesięcioro, jest jedynym, niepowtarzalnym światem i z tej wiedzy czyni właściwy użytek. Każdy taki świat usiłuje otworzyć innym kluczem. Wśród chłopców i dziewcząt Romany Kaszycy są także dwudziestolatki, nierzadko o pogmatwanych już życiorysach, którzy u tej niepospolitej kobiety szukają oparcia i akceptacji, jak ów Kornel (autorka używa tylko imion), któremu poradziła, że „tycia trzeba się nauczyć, trzeba decydować, wybierać, radzić sobie samemu, wiele przeżyć, żeby być człowiekiem pełnowartościowym”. Tworzenie to również przeżycie; jego męka, trud, wysiłek, nie zawsze uwieńczone artystycznym efektem, mają często na młodego człowieka zbawienny wpływ. Kaszycy jest optymistką.

Autorka „Dziennika” nie kształci artystów, chociaż cieszy się, że kilkoro jej uczniów wybrało plastykę jako kierunek dalszej swojej nauki. Wie doskonale, że twórca prócz talentu, a to jest dar rzadki, musi mieć jeszcze charakter, upór, zacięcie. Nijaki, grzeszny, bezwolny nie ma żadnych szans. „Klaudia marzyła o liceum sztuk plastycznych, przynajmniej rzeka się poważnie, ale nie należała do dziewcząt zdolnych... brak jej było wyobraźni, brak zmysłu obserwacji, nie radziła sobie z technikami. Dobrze się stało, że zrezygnowała w porę”.

Najważniejsza, tak odczytałem przesła nie „Dziennika”, jest radość tworzenia i Romana Kaszycy daje zapis owej cudownej, błogostawionej radości lepienia

z gliny figurek — ciaramajd, kiedy zapomniała się, jak w przypadku Rudzika, nawet o swym kalekcie. Ta wspólnota przez dzieci i ich panią przeżywana radość łączy ich wszystkich w jedną rodzinę. Dzieci poprzecz to, co tworzą, bardziej poznają siebie, stają się lepsze, bogatsze wewnętrznie, a równocześnie ujawniają swoje różne przeciwieństwa. Lepienie glinianych figurek staje się pasją, od której nawet w wieku dojrzałym trudno się uwolnić. Efekt końcowy, owe ciaramajdy, po wypaleniu przy bierające przeróżne, polskie kolory, schodzą na dalszy plan. Oto sens wychowania poprzez sztukę, wychowania tak zaniedbanego w naszych szkołach.

Romana Kaszycy jako pedagog z urodzenia gra o te swoje dzieci, dziewczęta i chłopcy, z ich rodzicami, z ich losem. I przyznaje się także do porażek, które w tej grze dzieł z sukcesami najwyższej miary. „Dzieci — zauważa w pewnym miejscu swego „Dziennika” — potrafią być sprawiedliwe i obiektywne, nawet wobec własnej osoby. Gorzej z rodzicami”. Refleksje Romany Kaszycy powinny przeczytać nauczyciele, także rodzice, szczególnie ci, którym wydaje się, że wszystkie muzy polozły obie ręce na czoła ich dzieci.

„Dziennik” to również zwierzenia artystki, która za najpiękniejsze dni uważa te, w których może lepić w glinie, rysować, tworzyć, bo Romana Kaszycy jest przede wszystkim opętana tworzeniem. Radość życia czerpie z nieustannej radości tworzenia, zawsze jakby od początku.

JANUSZ KONIUSZ

Romana Kaszycy: **DZIENNIK LIRYCZNY**. Biblioteka Literacka Gorzowskiego Towarzystwa Kultury. Gorzów Wlkp. 1983 r. Cena 280 + 50. Nakład 3.000 egz.

Baśniowy świat Olczaka

Jest coś pięknego w tym, że pisarz karmi swą twórczość wspomnieniami, tradycją, historią. Polska literatura zna wiele takich przykładów, zawsze dominowanych przez losy narodu. Dziś ta sytuacja ma inny wymiar: jest nie tylko „ocalaniem od zapomnienia”, ale i zwyczajnym (nadzwyczajnym) upowszechnianiem, popularyzacją.

Sympatycznym dowodem — w przypadku Janusza Olczaka — są „Baśnie lubuskie”, wydane w znanej serii prowadzonej przez Lubuskie Towarzystwo Kultury. Do tej pory ukazały się legendy i podania opracowane przez m.in. Helenę Rutkowską, Izabellę Koniuszową, Zenonę Czarniecką. Tytuł książeczki Olczaka jest zbyt obszerny i szumny dla określenia trzech baśni, których akcja rozgrywa się wokół Międzyrzecza, „kwiety rzyzny i Biedzawa, ale miejmy nadzieję, iż tytuł będzie „chwytliwy”, a baśnie będą miały powodzenie.

Trójkąt geograficzno-historyczny, narysowany przez J. Olczaka, jest bardzo

specyficzny. Autor jest pełen uwielbienia dla własnych bohaterów i czyni z nich ludzi o dzielności, nie mającej sobie równych, o dużej mądrości i spryście. Nawet skwiryńskie baby sprzed ponad tysiąca lat, a może mniej, przy swej swarliwości i „głupocie umiętej zarzuciła na samego diabła, omamić, potem pozbryła się i — dopiąć własnego celu. Nie kochając — potrafiła rozkochar tak, iż szpieg, krzyżacki wysłannik, traci rozum (w uczuciowym rozgardzaju), myli nadawców swych szpiegowskich listów i poprzez niefortunny dla siebie układ zdarzeń — pozwala się zdemaskować i udaremnić krzyżacką napaść na miasto. Motyw kusego współpracującego z naszymi wrogiem jest bardzo popularny i często spotykany w baśniach lubuskich. Odbija się to na drodze prostej analogii: Krzyżak (także Prusak) i diabeł czynią zło, czyhają na cudzy dostatek, szczęście i wolność. A że „sila zła na jednego”, w grupie różnych, przeto Niemiec i kusy działają razem na krzywdę Polaka, który — wcale nie oddaje swej skóry.

Trzecia z baśni, „O dobrych wroczkach i cudownym chłopcu z Biedzawa”, to przykład na powyższe tezy. Rezolutny Łukasz przez całe swe godne życie unika pulepek zastawianych przez wrogów; jest pracowity, mądry, rozpoczyna nad robotą kraju. I choć nigdy nie znajduje kwiatu paproci — doczeka powrotu wojennej Polski „z orłami Napoleona”. Olczak buduje tę baśń w oparciu o lekką ironię, lecz w ten sposób unika patosu, śmieszności, pozwala na niefrasobliwość, choć z morałem, zabawę.

Zupełnie inaczej skonstruowane są „Wielkie czyny szewczyka z Międzyrzecza”, o ileż sprytniejszego od tego z Krakowa. Nasz bohater nie tylko ujarzma dyżurnego smoka, ale i porozumiewa się ze zwierzętami, starym baranem, psem, kotem. Wedruga po całym świecie — dociera do paryskiej Sorbony, by dowiedzieć się, w jaki sposób zrobić buty siedmiomilowe. Aż roł się w baśni o cudownych postaci, rozmaitych dziwagach, ich dziwacznych pomysłach. Dodajmy — pomysłów bardzo współczesnych, np. realna jest postać wiedźmy, która na buciach ze smoczjej skóry chce zarobić miliony...

Legenda o dzielnym szewczyku jest najbardziej rozbudowana i wielowarstwowa. Momentem spójnym jest postać bohatera, wokół którego i poprzez którego rozgrywa się przeróżne zdarzenia. Ale w tym bałaganie, przemianach fantazji z realizmem, jest metoda. Myślę, że po kilku zabiegach na języku utworu — można by ową baśń opublikować w oficynie np. „Naszej Księgarni”. By „etos zachodni” zdobywał młodego czytelnika.

MAŁGORZATA
KOWALSKA-MASŁOWSKA

Janusz Olczak: **BAŚNIE LUBUSKIE**. Ilustracje Stanisław Czarniecki. Wydawnictwo Lubuskiego Towarzystwa Kultury. Zielona Góra 1988.

Przechadzki muzealne

W pejzażu kulturalnym woj. zielonogórskiego muzealnictwo ma swoje bogate tradycje, sięgające roku 1945, kiedy to Krystyna Kłęk otworzyła przy ulicy Lisowskiego w Zielonej Górze pierwsze skromne muzeum miejskie. Ale rzeczywisty rozmach muzealnictwo osiągnęło dopiero wówczas, gdy powstało województwo. Po kilku bowiem latach w byłej siedzibie Powiatowej Rady Narodowej przy alei Niepodległości ulokowano Muzeum Okręgowe, którego dyrektorem został wybitny malarz i konserwator zabytków Klem Feichnerowski. Potem nastąpiła czas Eugeniusza Jakubaszki, który podczas remontu budynku powiększył go o jedno piętro, stwarzając tym samym większe możliwości ekspozycyjne. Od 1976 roku dyrektorem Muzeum jest Jan Muszyński, który opracował rozbiegły program rozwojowy zielonogórskiego muzealnictwa. Do dziś zresztą nie bez trudności konsekwentnie realizowany.

Ani się obejrzelśmy, a wokół miasta powstało kilka specjalistycznych placówek muzealnych. Pod Ochłą powstał Park Etnograficzny, który pozostaje pod opieką Barbary Kołodziejkiej, w Świdnicy w zabytkowym dworze ulokowano Muzeum Archeologiczne środkowego Nadodrza, gdzie pomieszczono przedmioty wykopaliskowe — owoce pracy Edwarda Dąbrowskiego, Adama Kołodziejkiego i Andrzeja Marcinkiana. Od 1985 roku w Drzonowie czynne jest Lubuskie Muzeum Wojewódzkie, stale rozwijające się dzięki niestrudzonemu Włodzimierzowi Kwaśniewiczowi. Obecnie trwa już prace organizacyjne nad utworzeniem w Zielonej Górze Muzeum Historycznego.

Gwoli ścisłości należy dodać, że ważne miejsce w zielonogórskim muzealnictwie zajmują placówki: Muzeum Martyrologii Aljancików Jęńców Wojennych w Zaganiu oraz muzea regionalne w Nowej Soli, Świebodzinie i Wolsztynie. W Gubinie jest też placówka poświęcona pamięci pierwszego prezydenta NRD Wilhelma Piecka. Ponadto w Województwie i Miejskiej Bibliotece Publicznej istnieje Muzeum Książki.

W tym roku ukazała się cenna publikacja zielonogórskiego dziennikarza Henryka Ankiewicza, zatytułowana „Zielonogórskie przechadzki muzealne”. Autor nie napisał typowego przewodnika

po zielonogórskich muzeach, lecz w zebrań w książce siedmiu „przechadzek” ukazuje początki i rozwój naszego muzealnictwa, opisuje działania organizacyjno-merytoryczne pasjonatów i profesjonalistów tej dziedziny kultury, oprowadza po placówkach, poświadcza archeologów i etnografów, winiarstw i galeriom artystycznym, medalierko-numizmatycznej oraz zagląda do Drzonowa, Nowej Soli, Zagania i Świebodzina. Ciekawie, ze swadą narracyjną opowiada o ludziach i eksponatach. Najżywiej napisana jest według mnie „Przechadzka artystyczna”, poświęcona zbiorom i galeriom sztuki współczesnej Muzeum Ziemi Lubuskiej. Autor z fascynacją kreśli wizerunki współczesnych wybitnych artystów polskich, którzy mają swoje galerie, cytują ich wypowiedzi, wplatając w narrację fragmenty wierszy Papuszy, Koniusza, Solki.

Książka Ankiewicza była potrzebna. Piszę „była”, bowiem podobno została już wykupiona przez odwiedzających zielonogórskie muzea.

ZENON LUKASZEWICZ

Henryk Ankiewicz: **ZIELONOGÓRSKIE PRZECZADZKI MUZEALNE**. Wyd. Muzeum Ziemi Lubuskiej. Zielona Góra 1988. Opracowanie graficzne Agnieszka Buchalik-Drzyzga. Fotografie Marek Wodniak. Konsultant naukowy Andrzej Czarkowski. Redaktor Izabella Koniusz. Nakład 1500 egz. Cena 1 zł 400.



„Zakochani” na scenie lalek

Redakcja „Nadodrze” Zielona Góra
Szanowni Państwo,

W numerze 13 (672) „Nadodrze” ukazał się artykuł p. Piotra Piotrowskiego recenzujący widowisko Sceny Lalkowej Lubuskiego Teatru w Zielonej Górze. Niestety, zakradł się do niego pewien błąd. Otóż Krzysztof Rau nie reżyserował „Zakochanych”. Jest on autorem

inscenizacji, natomiast reżyserem jest p. Janina Keszowska.

Prosząc o sprostowanie tej informacji dziękujemy autorowi i redakcji „Nadodrze” za zainteresowanie naszą działalnością i zapraszamy na następne przedstawienia.

Kierownik literacki
ALICJA GIZEWSKA

Z TEK PROKURATORA

OCHRONA ŚRODOWISKA NATURALNEGO

Ze sporym zainteresowaniem spotkał się odczyt prokuratora Prokuratury Wojewódzkiej na temat problemów ochrony pracy i środowiska naturalnego w przemyśle, wygłoszony na seminarium zorganizowanym z inicjatywy Stowarzyszenia Włókienników Polskich i Okręgowy Inspektorat Państwowej Inspekcji Pracy w połowie br. w Drzonkowie. Z dyskusji na tym seminarium wynikało, że wielu odpowiedzialnych pracowników przemysłu, i gospodarstw, wśród nich odpowiedzialnych za ochronę środowiska nie orientuje się, że prokuratura podejmuje działania chroniące także prawo w tej dziedzinie. Niech będzie to dla nich ostrzeżeniem.

Na podstawie zawiadomienia Państwowego Nadleśnictwa w Nowej Soli, tamtejszy Rejonowy Urząd Spraw Wewnętrznych wszczął i kontynuuje dochodzenie w sprawie zniszczenia 35 arów lasu w rejonie Ciszowa. Wobec braku należytej troski o stan techniczny zbiorników na gnojowicę w oborze Zakładu Rolnego w Stypulowie doszło do jej wlewania bezpośrednio do lasu. Doprowadziło to do zniszczenia drzewostanu wartości około 500.000 zł. Zachodzi oba

wa, że gnojowica zatrzymała również okoliczne wody glebinowe oraz powierzone. W skierowanym do dyrektora PGR w Kozuchowie wystąpieniu prokuratorskim prokurator zażądał niezwłocznego doprowadzenia urządzeń magazynujących gnojowicę do stanu używalności. Prokurator Rejonowy w Nowej Soli nadzoruje nadto prowadzone przez MO dochodzenie w sprawie de wstacji przez pracowników Przedsiębiorstwa Sprzętu i Transportu Wodno-Melioracyjnego w Kozuchowie 50 arów lasu. Eksploatowali oni bez zezwolenia żwirowisko na terenie leśnym, doprowadzając do całkowitego zniszczenia młodnika sosnowego. Dochodzenie ma na celu wyjaśnienie, czy działanie odpowiedzialnych osób z obu przedsiębiorstw stanowiło przestępstwo i kto konkretnie je popełnił.

UWAGA NA PRZEJAZDACH!

Doświadczeni kierowcy twierdzą, iż strażone przejazdy kolejowe są dla uczestników ruchu drogowego lekceważąc zasady ostrożności bardziej niebezpieczne od niestrzeżonych. Podniesione zapory nie zwalniają kierowców od zachowania w takich sytuacjach zwykłych środków przestrogi. Potwierdzeniem tego jest wypadek, jaki wydarzył się w czerwcu br. na strzeżonym przejeździe kolejowym przy ul. Sobieskiego w Świebodzinie. Pociąg relacji Berlin - Moskwa najechał tu na przejeżdżający przez tory samochód ciężarowy IFA Świebodzkiego Kombinatu Rolnego. Trwają zbierani okoliczności

zawdzięczać należy, iż nikt nie zginął, a w wyniku zderzenia uszkodzony został jedynie elektryczny pociąg i zniszczony w znacznym stopniu samochód. Według dotychczasowych ustaleń, kierowca IFY wjechał na przejazd, bowiem nie włączył sygnalizacji STOP a rogatki przejazdu nie były opuszczone. Obo wiązki drożnika przejazdowego pełniła w tym czasie Violetta S. (która) prokurator zarzucił nie wypełnienie obowiązku zamknięcia zapor przed nadjeżdżającym pociągiem, co doprowadziło do groźnego wypadku. Violetta S. wyjaśniła, że zdrzemnęła się na chwilę, nie słyszała zapowiedzi pociągu i obudził ją dopiero sam wypadek!

NIE KRAŚ (ZA GRANICĄ)

Na karę po 3 lata i 6 miesięcy więzienia, po 250.000 zł grzywny i konfiskacie mienia skazani zostali przez Sąd Rejonowy w Żarach 27-letni Eugeniusz S. z Katowic i 25-letni Henryk C. ze Strzelina, którzy po nielegalnym przekroczeniu granicy, na terenie NRD wzięli się do kilku kłóty i skradli samochód osobowy Lada na skądzie oby wateła NRD Reinharda Reimanna. Skradzionym samochodem usiłowali przedostać się do RFN i na przejeździe granicznym w Marienborn celowo najechali i rozbili trzy słabane regulujące ruch oraz jeden zabezpieczający i po rozbiciu samochodu zostali ujęci przez funkcjonariuszy służby granicznej NRD. Po czym zostali przekazani Prokuraturze Rejonowej w Krośnie Odrzańskim.

(Lex)

Nowy rok szkolny

Koniec wakacji! Tysiące młodych ludzi na Ziemi Lubuskiej (w całym kraju ponad 7 milionów) powróciło do szkół by podjąć kolejny — lub pierwszy — rok nauki. Wojewódzka inauguracja roku szkolnego w Zielonogórskiej szkole podstawowej na Osiedlu Pomorskim w Zielonej Górze. Szkoła była tu bardzo potrzebna, wypełnia bowiem niekompletną nadal infrastrukturę na tym wciąż rozbudowywanym się, jednym z największych zielonogórskich osiedli mieszkaniowych.

Podobna uroczystość w Gorzowskim odbyła się w szkole podstawowej im. Mikołaja Kopernika w Pełczycach. Oddano do użytku nowe skrzydło szkoły, które rozwiązało całkowicie jej kłopoty lokalowe. W ten sposób pełczycka szkoła zaliczyła się do nielicznego grona szkół w województwie gorzowskim, w których nauka odbywa się na jedną zmianę.

Liceum Lotnicze

ma patrona

Początek roku szkolnego w znanym zielonogórskim Liceum Lotniczym miał szczególnie uroczysty charakter. Na wniosek młodzieży, Liceum otrzymało imię kpt. pil. Eugeniusza Horbaczewskiego, jednego z asów lotnictwa myśliwskiego Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Zginął on w bitwie powietrznej nad Francją w 1944 r. i tam został pochowany. Uroczystość zgromadziła w Liceum towarzyszy broni bohatera kapłana i zaproszonych gości. Otwarto tu także Salę Tradycji Lotnictwa, w której znajdują się m.in. pamiątki po kpt. Horbaczewskim.

Inauguracja sezonu

teatralnego

Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze rozpoczął go wzniośnieniem na Scenie Lalkowej spektaklu pt. „Zakochani”, którego premiera odbyła się w maju br. Autorami tej lalkowej pantomimy są Krzysztof Rau i Adam Kilian. Przedstawienie wyreżyserowała Janina Keszowska. 3. IX na Scenie Dramatycznej premierowe przedstawił „Tanga” Sławomira Mrożka w reżyserii Romana Kordzińskiego. Teatr im. J. Osterwy w Gorzowie rozpoczął swą działalność w nowym sezonie wzniesieniem sztuki Leszka Szopy pt. „Złote oczy mszcy” a także inscenizacją „Powrotu posła” J. U. Niemcewicza w reżyserii A. Banukiewicz.

Żagańskie lato

„Smyczków”

Żagań stał się w sierpniu centrum polskiej wiolinistyki. Po raz pierwszy zorganizowano tu Ogólnopolskie Zgromadzenie Smyczków — obóz dla pedagogów i adeptów wiolinistyki. Było to nawiązanie do tradycji podobnych zjazdów muzycznych odbywających się ongiś w Łagowie. Inicjatorem przedsięwzięcia był prof. Tadeusz Wroński, największy autorytet polskiej wiolinistyki. W zgromadzeniu udział wzięło kilkunastu najwybitniejszych pedagogów — smyczków, oraz grupa najlepszych uczniów i studentów polskich szkół i akademii muzycznych.

Lubuszanie w Seulu

Wśród 147 osobowej ekipy olimpijskiej, która reprezentować będzie Polskę na Igrzyskach XXIV Olimpiady w Seulu znalazło się sześćoro Lubuszan. Z woj. zielonogórskiego: kajakarka Katarzyna Weiss, pięcioboista Maciej Czyżewicz i Arkadiusz Skrzypaszek, kajakarz Grzegorz Krawców, Dorota Bidołach (strzelectwo). Województwo gorzowskie reprezentować będzie Zenon Jaskuła.

Nowa drukarnia prasowa

Jej brak coraz dotkliwiej odczuwają nie tylko drukarze. Potrzeba stworzenia nowej bazy poligraficznej w Zielonej Górze staje się nagłą. Zatem nie tylko bezpośrednio zainteresowani śledzą postępy robót przy al. Wojska Polskiego, gdzie wznoszą się mury nowej drukarni, którą buduje ZPB „Nad-



odrza”. Jest to kosztowna inwestycja. Tylko jej pierwszy etap wynoszący będzie 2,7 mld (w cenach z 1986 r.).

Program Warta

To najdłuższa po Wiśle rzeka w Polsce. Jej dorzecze obejmuje 13 województw. Niestety, wody tej rzeki, które jeszcze kilkanaście lat temu należały do najczystszych w Polsce, obecnie w większości nie odpowiadają żadnej klasie czystości. Zdecydowano się zapobiec temu groźnemu stanowi. Przed stawieniem 13 województw leżących w zlewni Warty (w tym gorzowskiego i zielonogórskiego) zawarli kilka miesięcy temu „Międzywojewódzkie porozumienie ekologiczne” nazwane „Program Warty”. Materiałnym oparciem dla realizacji tego programu staje się „Fundacja Warta”. Jej celem jest gromadzenie środków na inwestycje związane z realizacją tego programu. Rodzi się możliwość tworzenia wojewódzkich i międzywojewódzkich „spółek ekologicznych”. W ub. miesiącu do „Programu Warty” i do „Fundacji” przystąpiło 13 wojewódzkich porozumień związków zawodowych.

Polska i Polacy

w obiektywie

Rozstrzygnięte zostały ogólnopolskie konkursy fotograficzne pt. „Polska i Polacy w obiektywie” i „Człowiek, świat, sztuka”, zorganizowane przez LKUP przy współudziale LTF. Jury konkursu pod przewodnictwem Czesława Łuniewicza przyznało w pierwszym konkursie dwie II nagrody Markowi Józkowski z Koszalina i Dariuszowi Kul z Gdańska-Oliwy, trzy III nagrody Jeremu Kleczkowi z Wrocławia, Radosławowi Szmidowi z Zielonej Góry. W drugim konkursie trzy II nagrody Adamowi Kurasowi z Grójca k. Oświęcimia, Ryszardowi Poprawskiemu i Radosławowi Kleczkowi z Zielonej Góry. Wystawą są do obejrzenia w zielonogórskim KMPiK.

Pałac w Bieczu

Coraz częściej słychać o Bieczu, wiosce w gminie Brody, z racji znajdującego się tam pałacu, niedługo Wiedeń, którego, częściowo już wyremontowanego przez jego obecnego właściciela, Bogusława Śmigłowskiego. Pan Bogusław, to nie tylko przedsiębiorczy rzemieślnik, eksportujący swe wyroby za granicę, ale także pełen inicjatyw społecznych, działacz Brodzkiego Towarzystwa Kultury. Za jego to sprawą stary pałac staje się centrum kulturalnym gminy. Ostatnio odbył się tu plener plastyków — amatorów i — co było tu dużym wydarzeniem, wystąpiła z recitalem utalentowana młoda skrzypaczka z Zielonej Góry Dorota Siuda, tuż przed swym wyjazdem na dwuletnie stypendium w USA BTK ma w związku z pałacem ambitne plany: w Bieczu powstaje spółka, produkująca swe wyroby z drewna. Towarzystwo ma w niej swoje udziały, z których spodziewa się m.in. finansować działalność kulturalną w gminie. Póki co — coraz więcej tu się dzieje, a działacze BTK, wśród nich prezes Stanisław Turowski, dokładają starań, aby przedsięwzięcia kulturalne, zwłaszcza w bieckim pałacu, były możliwe /wysokiej próby.



Po Zielonej Górze chodzi caryca

Rosja, burzliwy rok 1775. Katarzyna II u szczytu władzy. Rządzi ona krajem przy pomocy swego faworyta księcia Potiomkina. Powstańcy pod wodzą Pugaczowa chcą obalić monarchię, nazywaną powszechnie „dziwką z Petersburga”. Ludzie powtarzają opowieści o nieprawościach carycy, zwłaszcza o panującej na dworze rozpucie.



Krąży wiele kaset z filmami obfitującymi w wyszukany seks...

Reżyser Scott Hunt z wielką gorliwością chce udowodnić, że ten ostatni zarzut jest prawdziwy. Czyni to za wszelką cenę i przy każdej okazji, do tego stopnia, że całemu fraucymmerowi Katarzynie, nie mówiąc już o niej samej, każe chodzić... bez majtek. Caryca kopuluje z mężczyznami i z ogierem oraz uprawia miłość lesbijską. Bierze sobie do sybillań po trzech oficerów, których do tych szczególnych zadań przygotowują wyćwiczone panienki.

Wszakże jeden, nazwiskiem Bazyl Mironowicz, opiera się i nie chce. Namietna władczyni żadna dowodów wierności najpierw przykuwa go do ściany, a potem gwałci. Pugaczow zostaje schwytany, przewieziony w klatce przed oblicze carycy i na oczach całego dworu, niezwykle podnieconego tym wydarzeniem, zatarturowany na śmierć. Powstanie jest zżławione. Bazylem Mironowiczowi udaje się uciec, wraz z ukochaną hrabienką Marią, brzydka jak nieszczęście i zbyszczeszona na rozkaz Katarzyny kolejno przez dwóch lokai, a następnie perwersyjnie wykorzystaną przez obłąka księcia Potiomkina.

Katarzyna w przeciwieństwie do otaczających ją dam jest bardzo seksy. Co rusz daje się oglądać prawie na gołosa, w białych pańczochach z podwiązkami.

Cztery pięści do zwycięstwa

Fachowcy powiadają, że western jako gatunek filmowy definitywnie się skończył. Najbardziej spektakularne próby reanimacji tego gatunku przyniosły jedynie finansowe „porażki”. Być może rzeczywiste westerny pozostanie już tylko wspaniałą legendą kina, ale pewne jest, że jeszcze wiele lat filmy o rewolwerowcach będą przyciągały rzesze sympatyków. Western doczekał się wielu parodi, wśród których dość znany jest czeski „Lemoniadowy Joe” czy angielski „Popierajcie swojego szeryfa”. „Cztery pięści do zwycięstwa” jest to film z pogranicza parodii i klasycznego westernu. Bohaterami są dwaj bracia z bardzo niedobrej rodziny. Ich mama wygląda na panią z saloonu, która przypadkiem zamieszkała w rancho, tańcowała referencje słynnego niedługo koniokrada. Braciszkiowie są wzajemnym przeciwieństwem; jeden

jest gruby, grubiański i nieco ograniczony, drugi przystojniakiem skłonnym do romantycznych wzruszeń. Ten drugi braciśzek przysparza rodzinie zmartwień rzekomo brakiem złośliwości i bandyckich kwalifikacji. Głowa rodu nakazuje starszemu bratu wyuczyć przystojniaka na dobrego bandytę. Bracia wyruszają na szlak, gdzie „program nauczania” ciągle jest zmieniany przez niesubordynowanego młodszego brata — zamiast rabować osadników wspomagają ich paroma dolarami, zamiast kraść i podpalać bronią słabych i dobrych, natomiast tepią silnych i złych. Film obfituje w wiele zabawnych sytuacji, a mimo wielu strzałów nie pada ani jeden trup. Jest to dobre antidotum na krwawe amerykańskie widowiska, choć i ten film zrealizowali Amerykanie.

36 komnat klasztoru Shaolin

Filmy kungfu, tak jak i westerny, przestały przyciągać do kin tłumy widzów. Schemat powielony w tysiącach obrazów znużył nawet najwznieślijszych kibiców wschodnich walk. Chociaż trzeba przyznać, że te masowe produkcje o identycznych niemal fabulach, z którymi polski widz zetknął się dopiero pod koniec lat 70. i na początku 80.,

spełniły w naszym kraju dość istotną rolę. Dzięki tym filmom wielu młodych widzów zainteresowało się prawdziwą kulturą i filozofią Wschodu, a najwytrwalsi trafili do sal gimnastycznych, gdzie z powodzeniem i pożytkiem dla siebie trenują różne odmiany wschodnich walk. „36 komnat klasztoru Shaolin” jest typowym produktem Hongkongu. Jest to ballada o młodym Chińczyku, który chce przeciwstawić się okrutnemu despotie gniebiącemu swój naród, udaje się do słynnego klasztoru Shaolin po naukę. Ta część filmu, w której mnisz uczą chłopca sztuki walki, jest najbardziej interesująca. Adept przechodzi przez tytułowe komnaty klasztoru, w których doskonalili swoje umiętności. Okazuje się być bardzo pojętnym uczniem i przeszedłszy wszystkie komnaty staje się największym mistrzem w klasztorze. Po osiągnięciu mistrzowskich umiejętności organizuje powstanie, które kończy się wypędzeniem despoty i jego wojsk. Dokonawszy tego dzieła wraca do klasztoru, gdzie tworzy trzydziestą szóstą komnatę, w której uczy chłopów sztuki samoobrony.

Van

Uwaga Czytelnicy

Przypominamy, że z dniem 20 września br. (decyduje data stempla pocztowego) mija termin nadsyłania odpowiedzi na nasz wakacyjny konkurs, który opublikowaliśmy w numerach 14, 15, 16 i 17 z br. „70 LAT ODRÓDZONEJ POLSKI”. Każdy kupon z prawidłowymi odpowiedziami bierze udział w losowaniu nagród. Główną nagrodą są dwuosobowe wczasy świąteczne - noworoczne w Karkonoszach ufundowane przez Biuro Podróży „Lubuszanin” w Zielonej Górze. Ponadto: radiodiodniak „Ania”, śpiwór, materace turystyczne, plecak uniwersalny, torba turystyczna, obrusy i serwety oraz albumy i inne wydawnictwa książkowe, które ufundowały Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy oraz Lubuskie Towarzystwo Kultury w Zielonej Górze.

Czekamy na odpowiedzi. Życzymy szczęścia w losowaniu!

nadodrza

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY — PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, I piętro oraz dla korespondencji: 65-955 Zielona Góra 8, skrytka pocztowa 46. Telefon: redaktor naczelny 758-33, sekretariat 39-13 oraz centrala 46-61 do 67 (dla telefonów wewnętrznych). Telex 0432253. Redaguje kolegium: Halina Aniska-Skarbek, Janusz Koniusz (red. naczelny), Zenon Łukaszewicz (z-za red. naczelnego), Wiesław Nodzyński, Ryszard Rowieński oraz Leszek Hermanowicz (red. graf.-tech.). Ko-

redakcja: Maria Fiedorowicz. Sekretariat redakcji: Elżbieta Waleńska. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 25, 65-942 Zielona Góra skrytka pocztowa 51. Centrala telefoniczna 46-61 do 67. Dyrektor naczelny: Zbigniew Pietkiewicz, tel. 717-95. Druk: Drukarnia Prasowa ZWP, 65-942 Zielona Góra, ul. Reja 5. Ogłoszenia przyjmują Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiałów (tekstów i zdjęć) nie zamówionych redakcją nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótnów i zmian tytułów.

Zam. 809

Z-20

okolicach Zielonki

Wszyscy ludzie pionu

nadodrze Rozrywki umysłowe

1 W naszym codziennym życiu run-
kują dwie rzeczywistości. Pierwsza rzeczywistość, to jest ta,
którą oświadcza sam widzący, obcuje-
my z nią w życiu prywatnym, towarzys-
kim, zaznajamiamy się z nią na ulicy,
w koleżkach po zakupy. Druga rzeczy-
wistość, to jest ta, którą pragną wszy-
stkim nam przedstawić oficjalnie, z
urzędu. Wmawia się nam, że rzeczywi-
ście tak jest, chociaż wiemy dobrze, że
tak nie jest, albo, że całkiem tak nie
jest, jak nam chcą to zaprezentować.

2 O tym wszystkim myślałem w
czasie wręczenia tegorocznych lu-
buskich Nagród Kulturalnych,
Naukowych i Technicznych. Uroczystość
odbyła się w pięknej sali witrażowej
Muzeum Ziemi Lubuskiej. Byłem gdzieś
tam wcześnie, między eksponatami mu-
zealnymi, bowiem tradycyjnie już podob-
nych do mego pokroju osób nie zapra-
sza się na takie spotkania, chociaż —
jak podano oficjalnie w komunikacie: —
„uroczystość odbyła się w obecności
przedstawicieli stronnictw politycz-
nych, środowisk twórczych, organizacji
oraz placówek kultury i oświaty”.
Rzecz jasna, żadnych pretensji do orga-
nizatorów z tego powodu nie mam, a
wręcz przeciwnie! Dożyłem już takiego
wieku, że doskonale opanowałem dypla-
mację prowincjonalną i wszelkie z tym
związane układy.

3 W roku bieżącym nagrodzono aż
19 osób, co nie jest żadną rzeczą
zwykłą, zważywszy, iż sporo
nazwisk laureatów człowiek zna już na
pamięć, tyle razy gdzieś tam byli nagra-
dzeni. Województwo zielonogórskie po-
wierzchniowo jest małe, stąd wybór
osób do nagradzania siłą rzeczy rów-
nież jest ograniczony. Ale znamienność
osobowości jest fakt, że większość lau-
reatów pochodzi z tzw. kierowniczego
pionu. Nie podważając żadnego stołka
funkcyjnego tegorocznych laureatów, ro-
dził się jednak pytanie, czy rzeczywi-
ście wkład pracy predysponujący do na-
grody, jest jedynie osobisty laureata,
czy też jest to suma pracy innych pra-
cowników, podległych mu w hierarchii
zawodowej? Nigdy w życiu nie byłem
dyrektorem, i nie będę ze znanych po-
wodów. Moja inicjatywa w pracy, mo-

je pomysły, udoskonalenia, propozycje,
w końcowym efekcie zawsze były przy-
pisywane moim szefom.

4 Przedstawianie osobistych poglą-
dów, jak wiem, wywołuje na pro-
wincji szok, ale w skali kraju
nie jest już niczym rewelacyjnym, i nie
którzy mają już tego po dziurki w no-
sie. Każdy krytykuje, demaskuje, wy-
wabia białe plamy. I nie z tego nie
wynika. Ludzie ze szczybla władzy z
dość spokojną determinacją bronią
swoich uprawnień i wpływów, inni rów-
nież kombinują, jak najlepiej się urzą-
dzić i być lepszym od sąsiada. I nie
ma co się obrażać, denerwować, albo
dziwić.

5 Lubuska kultura, co stwierdzam
z wielkim smutkiem, dochodzi do
stanu krytycznego. Malkontenci
uważają, że inaczej nie może być, że
li wszystko również zmierza do stanu
krytycznego. Dlatego może, przy wrę-
czeniu nagród laureatom, najciekaw-
sze były szepcane, kuluarowe opinie.
Jak mogłem podzielić, spierano się
o odpowiedzialność za kształt centrum
Krosna Odr., dorzucając do tego ko-
tła zielonogórskie centrum z osławionym
mi butikami (spójrzcie, kto je ma!) na
placu po byłej gazowni. Zalono się, że
nie można wydrukować krytycznej re-
cenzji z książki zielonogórskiego proza-
ika, bowiem ów autor zaliczany jest do
kierowniczego pionu, i byłoby to szar-
ganiem jego autorytetu. Inny, młodszy
krytyk, nie chce natomiast napisać ta-
kowej recenzji, albowiem od dłuższego
czasu winien jest autorowi spora sumę
pieniędzy, przeto nie wypada walić bra-
wą w oczy. Pytano retorycznie, dla-
czego dla utalentowanego, wyróżniane-
go światowymi nagrodami, młodego gra-
fika, nie ma nawet malutkiego pokoiku
i zmuszony jest on do nocowania po
komnatkach znajomych. Jest tak przy-
wiązany do zielonogórskiej prowincji,
że nie kuszą go intratne propozycje z
oświeczonego województwa, chociaż owe
propozycje kuszyły już wielu, a ostat-
nio — także z powodów mieszkaniow-
ych — młodą dziennikarkę, w ślad
której rójdzie jej mąż, poeta o oryginal-
nym dorobku twórczym. Nikt niczego
w tej materii nie robi. Stworzyła się
bowiem grunka, dla której wyjazd co
bardziej utalentowanej twórczo młodzie-

ży, jest jak odpust boży: zmywają się
konkurenci i nie będzie skali porównaw-
czej dla ich, powiedzmy otwarcie, kieps-
kiej, prowincjonalnej twórczości. Wy-
jaśniono wreszcie, że nie będzie reakty-
wowania Klubu Środowisk Twórczych,
ponieważ powtarzałyby się ówczesna
rozwiązłość obyczajowa lokalnego śro-
dowiska twórczego, tak jakby bez Klu-
bu takiej rozwiązłości nie było. Wska-
zywano na eliminowanie głosów krytycz-
nych o zielonogórskiej kulturze, co oso-
biście dla mnie jest ważne, bowiem
pewny nie jestem, czy ów felieton uka-
że się drukiem. Posłużono się argumen-
tem z lamów „Nadodrza”: krytyce pod-
dano tegoroczny Festiwal Piosenki Ra-
dzieckiej. „Za karę” autorka reportażu
nie pojechała do Witebska...

6 Najbardziej emocjonalnie omawia-
no przyznane stypendia twórcze,
co zrozumiałe, zważywszy, iż są
to też pieniądze. Po raz kolejny udo-
wodniono, że kierowano się dobrym ser-
cem. Ktoś nieopatrznie tylko wspomniał
historię Wincentego Van Gogha,
któremu bogaty kupiec odmówił zafun-
dowania stypendium, a pytany o powo-
dy, wyjaśnił, że zgadza się, iż Van
Gogh jest mistrzem, ale gdyby jego los
został zabezpieczony, to sztuka straciła
by zbyt wiele! Nie jest przypadkiem,
że olbrzymia większość wybitnych
twórców przez długi czas żyła w ne-
dzy. Byli jednak też ci, na których spo-
łeczństwo poznało się i zaczęło im
płacić — ale ci zaraz przestali się roz-
wijać i doskonalić. Jedynie nacisk ne-
dzy wywala w normalnym człowieku
silne dążenie do dorównania innym, a
potem — niejako z rozpędu — przewyż-
szenia pozostałych. Wszelka darmocho-
da — a więc fundowanie bez umiaru sty-
pendiów osobom w sile ustabilizowane-
go wieku — łamie kregosłup moralny
i uczy oglądać się na własnych siłach!

7 Na koniec pragnę donieść, że roz-
powszechniano pogląd, iż wszel-
ka zmiana związana z odbudową
życia kulturalnego regionu jest absolut-
nie konieczna i zarazem całkowicie nie-
miżliwa. Ale ja o tym dramatycznym
paradoksie nie chcę się publicznie wy-
powiadać.

ZBIGNIEW M. JELINEK

MALUNEK W OWALNYM OBRAMIENIU	12					9
ZESPÓŁ UPI- NIUJĄCY, RADKA				2		23
MIESZKANKA FORMOZY						7
WÓDKA Z ANYŻKIEM	8				20	
SŁUŻY DO OLIWIENIA MARSZYŃ		10				17
ZAROZU- MIARLEC	13	5				19
KOLEGIUM SĄDOWE					25	
KWIAT, WIE- CZOREM SIL- NIE PACHNIE					22	15
KROSNA MALARSKIE		24				3
WISUS, ŁOBUZIĄK					4	14
IDYLLA, BUKOLIKA	6	1				
CZŁONEK RZĄDU		18				16
SYN GIEDY- MINA, KSIĄ- ŻE TROCKI		11				21

LOGOGRYF Z SZYFREM

Opr.: „Sławicz”

Zielonogórski Klub Szaradzystów
„LABRYS”

Pierwszą część rozwiązania utworzą
litery z pól dodatkowo obrysowanych

czytane rzędami poziomymi, a jego do-
kończenie powstanie z liter wpisanych
w pola diagramu oznaczone liczbami od
1 do 25.

Rozwiązanie wirówki z nr 17

Litera E występuje 27 razy.
Nagrody książkowe wartości ok.
1000 zł wylosowali: Stefan Kubasie-
wicz, zam. ul. Gen. Józefa Bema 38 m.
1 w Zielonej Górze oraz Czesława He-
merling, zam. ul. 22 Stycznia 11 m. 47
w Przemyślu.
Gratulujemy.

MaRGINAŁKI

GDYBYM BYŁ PREMIEREM. Podwój-
ny numer „Konfrontacji” (7-8 br.) przy-
nosi ciąg dalszy odpowiedzi studentów
dziennikarstwa i nauk politycznych U-
niwersytetu Warszawskiego na pyta-
nie: co bym zrobił, gdybym został pre-
mierem. Jedną z odpowiedzi brzmi:
„Gdybym został premierem, odwiedził-
bym się ludźmi, którzy wynieśli
mnie na to stanowisko. Obsadziłbym ni-
mi najbardziej istotne fotele, zadbałbym
o ich dochody. Rządzenie z tymi ludź-
mi byłoby „betką”, wszystkie moje „my-
śli” zajmowałyby im „lot”. Oto mamy
wreszcie właściwego kandydata — na-
co więc czekamy?”

PRZESADA. W interesującej rozmowie
Michała Łukasiewicza z prof. Arturem
Sandauerem, zatytułowanej „Co dalej?”
 („Nowe Książki” nr 4) autor „Bez tary-
fy ulgowej” stwierdza m.in.: „Zaczni-
my od stwierdzenia, że atmosferę lite-
racką tworzą przede wszystkim czasy
pisma. (...) Niech pan spojrzysz w czy-
ch rękach znajdują się czasopisma dzisiaj
i czy mogą one cokolwiek reprezento-
wać. Będę wymieniał: „Miesięcznikiem
Literackim” kieruje w zasadzie profes-
sor uniwersytetu, dlatego też znajduje-
my tam najczęściej przedruki prac ma-
gisterskich albo czegoś w rodzaju prac
magisterskich. Ślad programu usiłuje
stworzyć w „Twórczości” Henryk Be-
reza. Drukuje on i lansuje prozę, któ-
rej zaletą jest — jego zdaniem — uch-
łanie się normie językowej, czyli —
mówiąc prościej — niegramatyczność.
(...) Więcej lansowanych przez tego kry-
tyka dzieł czytać nie będę. Na czele
„Twórczości” stoi absolutnie niekompe-
tentny, nie mający pojęcia o tłumacze-
niu — poezji w każdym razie — tłu-
macz oraz — jak się już rzekło — rów-
nie niekompetentny krytyk.” Mistrz
Sandauer jak zwykle przesadza, choć
ujawnia przy okazji, że w 1957 roku
chciał założyć pismo literackie pt.
„Rzecz”. Nie udało się. Brzydko podej-
rzewamy, że to jest właśnie przyczyna
ostrych ataków na redaktorów naczel-
nych wspomnianych czasopism...

PRZESADA II. W cytowanej powyżej
rozmowie prof. Artur Sandauer wyzna-
je: „Faktycznie znajdujemy się w jed-
nym z den kulturowych, choć niedaw-
no nasz minister w przypływie dobro-
go samopoczucia oświadczył, że jest-
my w szczytowym punkcie rozwoju na-
szej literatury.” Sądzi, że jak zwykle
prawda leży pośrodku.

POMYSŁOWY OKOLNIK. Maria Czap-
ka z Choszczyna publikuje list na la-
mach tygodnika „Veto” (nr 36): „...co
miesiąc chodzę do urzędu pocztowego,
żeby odebrać rentę i opłacić od razu

czynsz, energię elektryczną, gaz itd.
Aż tu nagle do UPT zagrzała „reforma”
i klienci zostali „uszcześliwieni” nastę-
pującym zarządzeniem: „Osoby, które
samodzielnie odbierają renty, emerytu-
ry, proszone są o złożenie piśmennego
zastrzeżenia odbioru do 5.07.1988 w
UPT Choszczyna i uiszczenie miesięcz-
nej opłaty (opłata za miesiąc wynosi
50 zł). W innym przypadku renta i eme-
rytura będą doręczane do domu przez
doreczyciela. Ordynacja pocztowa —
rozdział 18”. (...) Jedną z urzędniczek
wyjaśniła mi, że pieniądze będą prze-
znaczone na szufladki! Zostaną w nich
posegregowane według alfabetu przeka-
zy z ZUS.” A może by tak te pieniądze
przeznaczyć na uporządkowanie klepek
w mózgach niektórych urzędników z
Choszczyna?

TYTUŁY GROZY I EMOCJI. Tygodnik
„Rzeczywistość”, jak przystało na współ-
czesne polskie pismo społeczno-politycz-
ne, posiadał umiejętność frapowania ty-
tułami. W nr 35 czytamy m.in. „Sta-
lin: od Boga do demona”, „Inwestycje
wsparte dolarami”, „Z grabiami po kur-
ki”, „Z czym do prokuratora”, „Pierw-
sze minuty wolności”, „Kto zabija czo-
łowieka”, „Portret klusownika”, „Umrzeć
po ludzku”, „Gorący pieniądź”, „Chu-
dy koszyk emeryta”, „Płacz mamie i...
płacz”, „Podręcznikowy kontredans”,
„Meblowy impas”, „Małe firmy — du-
ży zysk”, „Brudy na traktach”, „Wielka,
mała emigracja”, „Kokaina i dzieci”,
„Bez kwiatków dla nowonarodzonego”,
„Potwory z czarnej legendy”, „Powrót
emigranta”. Oto obraz naszej optymis-
tycznej rzeczywistości, tylko ślać mo-
dły do Allaha!

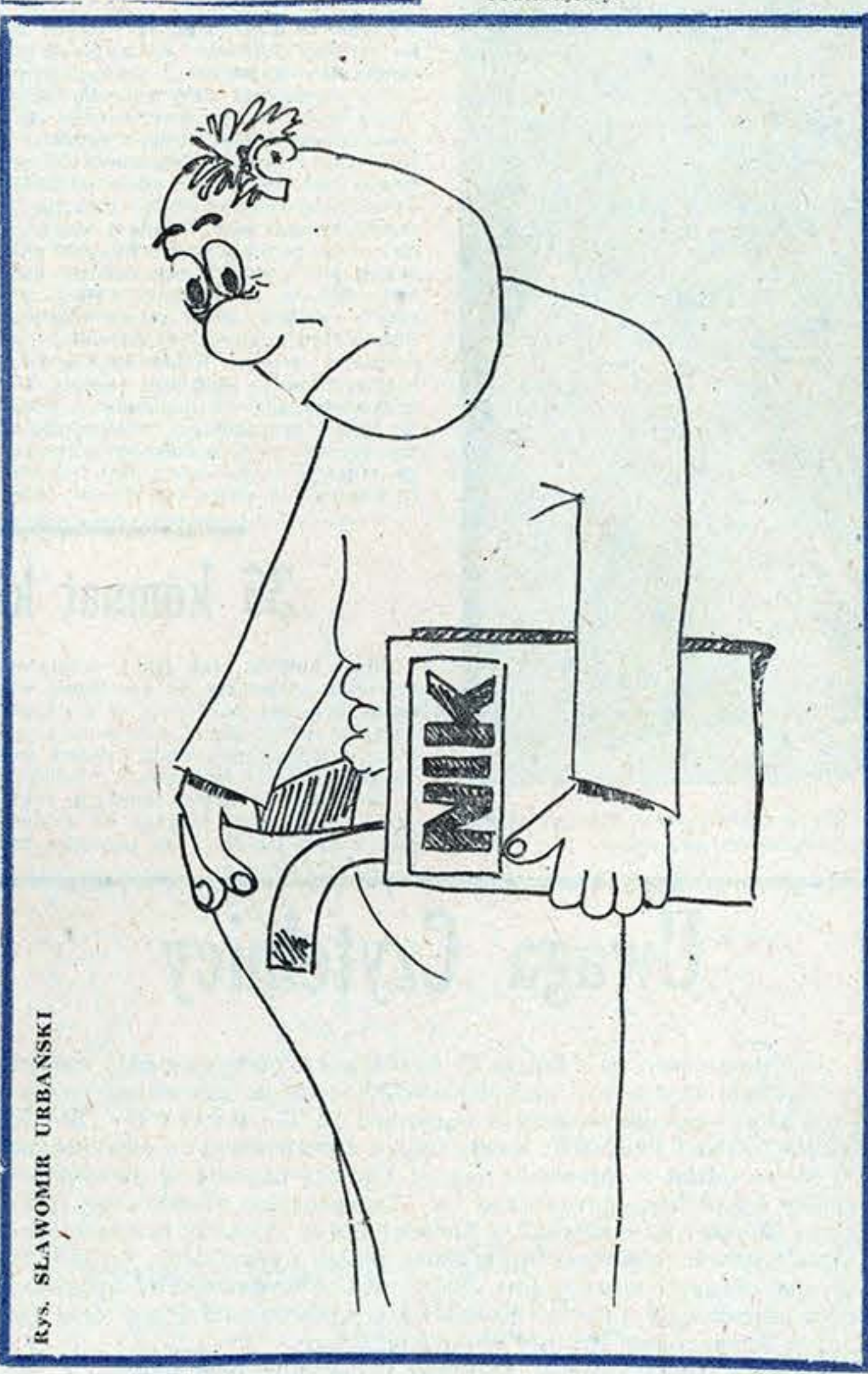
WYZNANIA ROSIEWICZA. W bydgos-
kich „Faktach” (nr 36) interesująca roz-
mowa Jerzego Florczyka z Andrzejem
Rosiewiczem. Autor i wykonawca po-
pularnej piosenki „Michał, Michał”
powiada, że nie został zaproszony na
witebski festiwal i wie, że ta jego pio-
senka nie jest lubiana w Związku Ra-
dzieckim. „Góra — stwierdza — że tak
powiem, administracyjno-partijna pio-
senka zna, ceni i lubi, a z rozmów z
Rosjanami podczas festiwalu w Zie-
lonej Górze dowiedziałem się, że ta pio-
senka jest zdecydowanie nie lubiana.
Oni zauważyli, że jest to rodzaj „beza-
brzaja”, jak się po rosyjsku nazywa, czy-
li bezcelności. Jak ją może tak bezpre-
tensjonalnie, bez napuszenia, w takim
stosunku śmiewać o sekretarzu generalnym
„Michał, Michał”. Jeszcze rok temu
było to dla nich szokujące, zaskakujo-
ce. Oni nie są nadal przyzwyczajeni do
tego, mimo, że tam już pазеты inaczej
nisza, żeby w taki swobodny sposób wy-
rażać się o sekretarzu. (...) Ponieważ
sekretarz jest kwiatowcem, on już róż-
ne sytuacje zna, rozumiał i odebrał
piosenkę dobrze. Śniadaczka o tym je-
no wspomniała na lotnisku, że jest to
forma poparcia i życzliwości. W zwią-

ku z tym on się na to nie obrażał, na-
tomiasz Rosjanie wychowani przez dzie-
sięć lat w innym stosunku do sekre-
tarzy byli obrażeni. Warto byłoby tu-
taj — nie wiem jak na to cenzura za-
reaguje — użyć mocniejszych argumen-
tów: są to spojzenia działaczy. Zwykle
do Zielonej Góry przyjeżdżają młodzi
ludzie sprawdzeni ideologicznie, tak się
wydaje... (...) Dlatego dla takiego praw-
dziwego Komsomolca to był szok i bez-
czelność, jak Rosiewicz może tak śmie-
wać o sekretarzu generalnym. Nato-
miast jeden piosenkarz radziecki wziął
mnie na stronę i powiedział: Andrzej-
ta piosenka nam się nie podoba.”
Jest to odpowiedź na pytanie: dlaczego
Rosiewicz nie pojechał do Witebska
Skąd my to znamy?

NAD WARTĄ REGGAE. W „Pochwał-
cie prostego i godnego” Ryszard Gi-
droj na łamach „Kultury” (nr 35) skła-
da relację z gorzowskiego festiwalu
muzyki reggae. Pisze m.in.: „Kto je-
szcze czuje się młody i ma pustą kie-
szkę, a w dodatku utożsamia się z Mu-
ryzami, tęskniącymi za powrotem do
afrykańskich korzeni, ten wybierze spo-
kój, nocne kołysanie się na festiwalu
„Reggae w Gorzowie”.

Gorzów Wielkopolski jest uroczą en-
klawą fanów reggae i niedobitków ras
tafarianizmu. Czcieli baski cesarza
Haile Selassie znad Warty wypierają
wyznawcy kultu Hare Kriszny, prowa-
dzący bardzo ascetyczny tryb życia.”
Tego nie przewidział nawet dr Kunicki,
autor monografii miasta średniej
wielkości.

WYZNANIA NA CZASIE. Zielonogór-
ski artysta — plastyk Zenon Polus w
dyskusji o młodej sztuce lat osiemdzie-
siatych (czasopismo „Sztuka” nr 3) wy-
znaje m.in.: „Oto artysta został posta-
wiony w sytuacji, kiedy nikt go ani
nie promuje, ani nie wystawia albo czy-
ni to z niechęcią i znudzeniem. Trzeba
oczekiwać swoje 35 lat aby wejść do
Biura Wystaw Artystycznych, a już nie
wspominam o pokazie w muzeum. I w
tej sytuacji artyści muszą brać całą
sprawę w swoje ręce.” A dalej powi-
ada: „Ja jestem po pierwsze artystą, nie
chcę więc oceniać tego, co pokazuję.”
Oto mamy dylemat: artysta musi sam
siebie promować, nie ma go kto oceniać,
a publiczność stroni od kolejnych awa-
awa-awa-awangardowych popisów.



Rys. SŁAWOMIR URBANSKI